



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 11 kwietnia 1954 r.

Nr 15 (211) Rok V

MŁODZI

JOANNA KULMOWA NOTATNIK ZAKOPIAŃSKI

Ten numer „Nowej Kultury” poświęcony jest młodym początkującym pisarzom i sprawom pisarskiego debiutu.

W stosunku do wielkiej fali debiutów powojennych, ostatnie lata nie przyniosły ich wiele. Faktem jest, że posiadając nawet konieczną cierpliwość rozwoju nie wiele nowych nazwisk wyłonionych w ciągu ostatnich trzech — czterech lat — wpiszemy do literatury. Jeszcze mniej — zarysowujących się twórczych indywidualności. Ale chcemy pisać nie tylko o tych, którzy z wielkim prawdopodobieństwem przy literaturze pozostaną, posiadają już za sobą jedną lub dwie książki. Chcemy pisać także o tych, którzy terminują w Kołach Młodych i o tych, którzy zaspokajają redakcję swoimi utworami zapewniając o gorącym postanowieniu zajęcia się literaturą na serio i domagając się druku bardziej lub mniej zuchwale. Ta młodzież pisząca, to podgiebie literackie odbija wyraźnie pewne tendencje pisarskie najmłodszego pokolenia, a często w karykaturalnej formie nawet dorosłego środowiska pisarskiego.

Pamiętamy numer młodych „Kuźnicy” z roku 1948. Stefan Żółkiewski charakteryzował w nim ówczesne młode pokolenie pisarzy i miał rację nie bawiąc się w rozróżnienia środowiskowe. Młodzież ta pochodziła wyłącznie ze środowiska mieszczańskiej inteligencji. Od tego czasu sytuacja zmieniła się radykalnie. Nasza dzisiejsza młodzież literacka wywodzi się w większości ze środowiska chłopkiego i robotniczego, a w stopniu znacznie mniejszym — inteligentckiego. Jest to drugi fakt kapitalnej ważności. Jest to fakt tłumaczący naszą młodzież literacką niekiedy zdrowe przejawy naszych debiutów, a także niekiedy słabości.

Krytyka filologiczno — estetyczna nie uwzględniająca tego faktu czyli nie uwzględniająca podstawowych warunków społecznych i psychologicznych rozwoju młodej literatury — skrzywiłaby jej obraz całkowicie. Nawet gdyby wyłonił się ujemny w sumie rachunek ocen estetycznych, nie możemy zamykać oczu na zjawisko pozytywne — na to, że wchodzi do literatury wstępująca klasa społeczna. Tylko że tego ciągle nie widzą nawet znajdujący się wewnątrz kraju rodzimi katastroficy kultury.

Absolutna większość prób literackich zarówno prozy jak poezji przychodzi do redakcji odczuwającej się i studiującej młodzieży robotniczej i chłopkiej. Niemalże także wpływ na ożywienie tej formy aktywności kulturalnej posiada służba wojskowa. Stamtąd otrzymujemy wiele różnego rodzaju prób literackich, od kompletnie surowych pozostających często na nieprzyjemnej stopie z ortografią i gramatyką — do nawet obiecujących. Obserwując codziennie geograficznie społeczną tych prób literackich widzi się naocznie stający się fakt szerokiego upowszechnienia kultury w Polsce Ludowej.

Najmłodsi dziś debiutujący byli dziećmi w okresie wojny i okupacji, nie mogli jeszcze należeć do żadnych ugrupowań ideologicznych, nie brali udziału w walce. Po wyzwoleniu poszli przeważnie do gimnazjum a stąd na uniwersytet. Szkoła jest ich największym przeżyciem. Szkoła powojenna, często bez podreżników, z początkowym chaosem i późniejszym przeciążeniem programów — wychowała ich. Uniwersytet z jego dzisiejszym systemem studiów jest również szkołą mało pozostawiającą czasu na osobiste intelektualne zajęcia i lekturę. Starsi z nich pamiętają przedwojenne dzieciństwo, paślonkę, beznadziejną sytuację rodzinną chłopięcą. Szkoła jest dla nich podwójnym awansem. Często w przeciwstawieniu swojej sytuacji uczącego się — przedwojennej sytuacji pastucha określają swą postawę ideową. Trudniejsza oczywiście jest sytuacja tych, którzy przyszli wprost z życia, nie ze szkoły, samouków często utalentowanych, ale wskutek braku kultury literackiej pozostających w tyle. Przy nieporadności formy mają oni głębiej często zakorzeniony nawyk myślenia. Ich utwo-

ry jakże często rodzą się z pobudek polemicznych w stosunku do literatury, sprzeciwiają się laktarnictwu, powierzchownej znajomości życia czyli tzw. terenu, gładziźnie formy. Zdarza się jednak, że bunt ten wyrażają w kategoriach lumpenproletariackich, że „cholerowaniu” w ich poematach nie odpowiada siła artyzmu i pozytywnych przemysłów.

Młodzież szkolna a zwłaszcza wiejska, odseparowawszy się przez szkołę od swego środowiska, przestaje często dostrzegać walkę i w życiu ogólnym i w szkole, gdzie przecież walka ta w przeróżnych sprawach się przejawia. Szkoła jest wprowadzie często ulubionym motywem w przeciwstawieniu do ciężkiego dzieciństwa, ale jej obraz jest schematyczny i idealizowany. Młodzi nie potrafią pisać o uczelni w kategoriach bojowych, w kategoriach walki. Ten brak aktywnego stosunku przejawia się w tym, że młodzież ta często przychodzi na gotowe, przyjmuje przywileje, które ofiarował jej ustrój. Ponieważ nie zdążyła przeżyć jeszcze wielkich radości i wielkiego cierpienia, brak przeżyć własnych zastania doświadczeniem rodzinnym, pisze więc o ojcu, o matce. Jest to typowe i wspólne zarówno dla młodych prozaików jak i poetów. Ojciec bywa węzłową postacią młodej prozy, w wierszach często matka stojąca nad białą patrzy na pochylonego nad „Kapitałem” syna. Podczas gdy młodzi pisarze pochodzenia inteligentckiego w pisaniu swoim rozprawiają się z rodziną, z ojcem, pochodzący ze środowisk ludowych podnoszą doświadczenia rodzinne, one pozwalają im sięgnąć doświadczeniem głębiej, niż dopuszcza ich wiek, ich brak osobistych przeżyć. Te doświadczenia rodzinne są często źródłem ich świadomości klasowej.

Mało czytali. Zbyt mało jak na przyszłych pisarzy. Nie znają klasycznych dzieł prozy i poezji. Często przypadkowo złapane „izmy” z okresu dwudziestolecia traktują jak swoje artystyczne odkrycia, które w konfrontacji z rzeczywistością literacką szybko się kompromitują. Słaba znajomość literatury przesłania im trudności pracy pisarskiej. Większość młodych piszących, nawet tych, którzy już drukują w pismach, nie rozumie trudu pisarskiego. Literatura wydaje im się łatwą formą służenia społeczeństwu. Szlachetna ale naiwna intencja nie uwzględnia jednej sprawy — odpowiedzialności pisarza za słowo. Słabe rozumienie tej odpowiedzialności odbija się na powierzchownym ujęciu tematu, podchwytaniu tzw. zamówień społecznych i na niechlujstwie lub absolutnym indyferentyzmie formy artystycznej.

Młodzi pochodzący z rodzin inteligentkich grzeszą raczej czymś odwrotnym: gładzizną i wtórnością formy. Nierzadko biorą się w prozie i poezji do historycznych stylizacji i podrabiając w prozie Gołubiewa i Wiktora a w poezji lansując „dobrą robotę” kompletnego elektyzmu stylów — począwszy od podrabiania poezji średniowiecznej — skończywszy na Tuwimie. Akademicyzm i konwencjonalizm — oto niebezpieczeństwa, które nam grożą z tej strony. Hasła krytyki — nawrotu do tradycji, nie spełnili w tym względzie pozytywnej roli. Nie dość precyzyjnie sformułowane były te hasła, nie dość jasno wskazywały na to, że można się uczyć na przykładzie klasyków, ale nie można na nich się wzorować. Toteż młoda poezja albo zajmuje postawę typowo epigońską, stylizacyjną, deklamatorską, albo też powtarza błędy nie wiele od siebie starszych młodych pisarzy. Wyłączenie spod krytyki niektórych naszych młodych poetów uczyniło z nich dla najmłodszych — wzór zarówno artyzmu jak i postawy ideowej.

Bo o jednej rzeczy nie wolno nam zapominać, że sprawy i trudności najmłodszej literatury są sprawami i trudnościami całej naszej literatury, całego naszego życia literackiego. Je-

go mankamenty, np. wygaśnięcie żywych dyskusji ideowo-artystycznych i słabość lub brak krytyki po prostu warunkują w sensie przyczynnym lub przedłużania wiele błędów młodego pokolenia. Młodzież literacka skoro świadomie otworzyła oczy ujrzała ten krajobraz kulturalny, jaki istniał. Wyłonił on się dla nich jako rzecz dana i zastana. Korzystają z przywilejów szybkiego startu, łatwego debiutu, kokoszej niekiedy opieki redakcji, wydawnictw Związku Literatów. Ale jednocześnie biorą na barki i niezastępowanie często cierpią za wszystkie grzechy dorosłego środowiska pisarskiego. I osłabienie jego ideowości i po prostu związane ze schematyzmem trudności realizmu socjalistycznego, a przede wszystkim arystokratyzmu lub nonszalancką niepedagogicznością krytyki.

Przez pewien czas charakteryzowało młodych uganianie się za tzw. zamówieniem społecznym, pisanie ilustracyjnych, deklaracyjnych wierszyków i próz — to o Warszawie, to o Koperniku, to na kolejne tematy rocznicowe i świąteczne.

Czy można się dziwić młodym, jeśli robili to samo starsi pisarze? Na szczęście pod tym względem wiele się zmieniło. Redakcje zaczęły przejawiać większe zapotrzebowanie na dobre i głębokie utwory niż tzw. telefoniczne, okolicznościowe. I dopiero w tym punkcie wylania się trudność dla pisarza starszego czy młodszego. Trzeba mieć rozum, nie wystarczy nawet talent. Nie łatwa jest literatura. Deklaratywnizm młodych wynika jakże często z a-intelektualizmu, z powierzchownego traktowania materii życia, zapomniania o tym, że pisarz ma obowiązek myśleć, a więc stawiać problemy.

Wspomnienia chłopkiego dzieciństwa, apoteoza ojca — szkoła — wielka przysługa mas pracujących — jeszcze problemami nie są.

Najważniejszą wartością młodych prób literackich dzisiaj jest realistyczna w zasadzie postawa ich twórców. Poprzez pisanie chcą młodzi coś konkretnego powiedzieć lub opowiedzieć. Wychodzą od treści, nie od pomysłów formalnych, kompozycyjnych, do których poszukuje się dopiero treści, jak to często robili starsi od nich pisarze w swoich początkach. Realistyczne nastawienie cechuje próby literackie młodych.

Łączy się z tym dążność do prostoty stylu. Nie zawsze oczywiście w pełni realizowana. Metafora jest ich słabą stroną zarówno w poezji jak w prozie. W poezji — piętrowe, wewnętrznie nielogiczne i wręcz nonsensowne budowie uważane są za metafory. W prozie kończy się dobry realistyczny tok zdania w tym miejscu, gdzie zaczyna się wprowadzająca do metafory: „jak”. W ten sposób jeśli można o tych rzeczach mówić ogólnie, przedstawiają się pewne charakterystyczne cechy i postawy najmłodszych pisarzy. Najlepiej zresztą powiedzą o nich ich próby literackie zebrane w naszym numerze. Jeśli można by podawać jakie ogólne reguły czy rady dla młodych piszących, to wyglądałyby one tak mniej więcej:

- 1) Literaturę należy traktować jako sztukę trudną, jaką jest — i odpowiedzialną — jaką jest. Nie należy brać się na łatwiznę gotowych tematów i doraźnych zleceń pojętych zamówień.
- 2) Należy walczyć z tematami, nie pisać o wszystkim co „podleci”, ale myśleć samodzielnie.
- 3) Nie trzeba bać się siebie. Trzeba pisać o sobie, o tym, co się przeżywa, i co się myśli. Czytelnik odrzuca rzecz, w której nie widzi twarzy autora. Odrzuca ją jako a-humanistyczną.
- 4) Można i trzeba radzić się poradni, redakcji i krytyków, ale trzeba pamiętać o tym, że pisarz musi sam siebie zrobić pisarzem, musi sam dojść do swego pisarstwa, do swojej dojrzałości.
- 5) Trzeba wiele czytać i uczyć się.
- 6) Uczyć się.
- 7) Uczyć się.

Redakcja „Nowej Kultury”

Słońce uderza w taflę szklaną —
Pod szkłem błyszczące fotografie.
Dokument: „Władimir Uljanow
z pieczęcią przez żółtki papier.

Stąd widać góry jak na dłoni,
widok przelewa się przez okna.
Popatrzyś — i już czytasz o Nim
lepiej niż z tamtych zdjęć — w gablotkach.

Tu mogą milczeć eksponaty,
bo potok mówi, potok płynie.
Słoneczny dzień. Te same Tatry.
Dym idzie z chałup w Poroninie.

Jesteś na szlaku Jego oczu,
jesteś na tropie Jego kroków,

Ktoś szedł niedawno po tym zbocz.
Patrz — świeży ślad na stoku.

Kawa. Napis „Szarotka”.
Wanilia w powietrzu. Święta.
I tu można czasem kogoś spotkać
i długo potem pamiętać.

Tuwim jest w Zakopanem,
ma oczy słodkie i mile:
„Wybaczcie, dzieci kochane,
ja się tak rozkosznie wstawiłem”.

Mówi o moim ojcu.
Cienie ma pod oczami.
„Podobna. Jaka podobna.”
I głos mu się trochę łamie.

Śnieg szyby oblepił. „Szarotka”.
Dzwonki u sań jak świerszcze.
Już go tu więcej nie spotkasz,
Pamiętaj te oczy. I wiersze.

Warkoczył jak cienkie ogonki,
język w ruchu, żeby lepiej szło.
Podłożył pod pupkę dwa tomy,
żeby palce dosięgły Rameau.

Krótką chwilą wahań. Omyłka.
Już pamięta. Więc płynnie i śmiało.
Popatr: klasyk i mała dziewczynka.
Popatr: skąd ta nagle poufałość.

Taka myszka spłoszona czy ptaszek.
Nawet nurt jeszcze nie zna — a proszę:
przesypuje te dźwięki jak maczek,
drobny, lekki, delikatny groszek.

Słuchaj dziecko: zaledwie wczoraj
odszedł od nas człowiek i poeta,
ale wróci, dziewczynko z przedszkola,
jak Rameau powraca w twoich menuetach.

Zgromadzono nas w dużej sali,
żeby zrobić wieczorek na temat,
więc niektórzy niby to słuchali,
tylko sztygar po prostu drzemał.

Ale zaczął ktoś głośno i wierszem,
więc ten sztygar obudził się z trudem,
i otworzył oczy jak najszerzej
i nie zamknął — posłyszał Nerudę.

Dziwne rzeczy, nieprawda, stary?
Ja rozumiem, że szkoda zasnąć,
kiedy dźwięczą hiszpańskie gitary,
kiedy śpiewa radzieckie miasto.

To już nie jest jakiś tam wykład,
to ktoś bliski do ciebie zagadał,
jego mowa jest prosta i zwykła
i od razu do serca przypada.

Przyszedł stary bojowy towarzysz
i pogwarzyć chce z tobą przez chwilę.
A towarzysz na imię ma Pablo.
A towarzysz urodził się w Chile.

Ja rozumiem, kochany, dlaczego
dziwią ciębie tak bardzo te wiezy:
nagle w obcym poznałeś swego,
a w poezji — codzienny język.

Wiem, że on cię na zawsze pozyskał,
nie zabłądził na dalekich szlakach,
że rozżarzył się chińska iskra,
żeby płonąć w sercu Ślązaka.

Ta noc przychylna jest dla wszystkich.
Cicho zagłada przez firanki.
Psom daje księżyc jak dom miski,
a dzieciom śnieg pod sanki.

Cisza jak dzwonki na uprząży.
Księżyc zatrzymał się na stoku.
I wielu ludzi mówi: księżyc.
I myśli: spokój.

Dziękujmy górą, dziękujmy,
że nas uleczą,
i małym gwiazdkom dziękujmy,
że w nocy świecą.

Dziękujmy świenkom kudłatym,
siwym od szronu.
Dymom dziękujmy i chatom,
i psom i wronom.

I Głewontowi dziękujemy,
że za oknami,
i naszej willi dziękujemy
„Pod Szarotkami”.

Trzeba to zliczyć pośpiesznie,
do domu zawieźć,
i śnieg i góry i wiersze
oddać Warszawie.

Trzeba to wszystko pozbierać,
trzeba przemysleć.
Niech przyjdzie noc zakopiańska
na Powiśle.



STARA MIŁOŚĆ
NIE RDZEWIEJE

WYSTAWA JEANA EFFEL'A
(Patrz str. 8)

MARIA KURECKA

DO KOLEGI Z KOŁA MŁODYCH

Drogi Kolego.

W okresie, gdy w Szczecinie powstało Koło Młodych, życie kulturalne przedstawiało się całkiem odmiennie, niż obecnie. Odbwały się spotkania i dyskusje z czołowymi pisarzami (Dąbrowska, Iwaszkiewicz, Broniewski i wielu innych). Istniało — do r. 1950 — pismo literacko - społeczne („Szczecin” — „Tygodnik Wybrzeża”), drukujące utwory o lokalnej i nie tylko lokalnej tematyce. Były doroczne nagrody wojewódzkie, przyznawane miejscowym plastynom i literatom.

Narastająca ostatnio centralizacja zaczęła gwałtownie wyjąławić miejscowe ośrodki twórcze. Od r. 1950 wyjechali ze Szczecina: Woroszyński, Osmańczyk, Bratny, Andrzejewski, Rojewski. Nazwisk niewiele, lecz strata dotkliwa. Tym bardziej, że miejscowe oddziały ZPAP, Stow. Dziennikarzy i SPATIF doznały w tym samym czasie podobnego upustu co zdolniejszych sił. Czołowi pisarze już nie przyjeżdżają. Literaci z zagaszonych ośrodków centralnych zaglądają jedynie z rzadka i na krótko. Wspomniany tygodnik dawno przestał istnieć. O dorocznych nagrodach artystycznych nawet pamięć zaginęła. Rozwijają się wprawdzie ośrodki odtwórcze, zwłaszcza teatry, ale młody narybek artystyczny coraz mniej może liczyć na realną opiekę ze strony coraz słabszych oddziałów związków twórczych.

Czy wobec tego w Szczecinie Koło Młodych istnieć nie powinno? I — czy wymienione trudności hamują właściwy jego rozwój? Nad tymi dwoma sprawami warto, sądzę, głębiej się zastanowić.

Ostatnio, mimo słabej opieki oddziału ZLP w Szczecinie, do Koła Młodych zgłosiło się sporo nowych kandydatów. Koło Młodych rośnie, rozwija ożywioną działalność — a przez 3 lata jego istnienia żaden z jego członków nie zdołał zebrać pierwszego tomiku swych opowiadań czy wierszy! Na łamach prasy literackiej także utwory młodych ze Szczecina ukazują się bardzo rzadko. Gdzieś tutaj tkwi błąd, jakieś podstawowe sprawy uległy wyraźnemu zniekształceniu.

Nadmiar rygorów organizacyj-

nych, zbyt ścisłe przestrzeganie frekwencji na zebraniach i zewnętrzna, powierzchowna aktywność pokrywają nieraz w Kole szczecińskim niedostatki znacznie głębszej natury. Zgodziliśmy się dopiero w tym roku z tym, że przedwcześnie publiczne występy młodych, niedoświadczonych autorów nie przyniosą właściwie pożytku ani im, ani słuchaczom, którym czytają swoje próby. Zrezygnowaliśmy z publicznych występów. „Ale coś przecież musimy robić!” — zaczęło dowodzić z przekonaniem. Przejawem tej chęci kontaktu z szerszym kręgiem odbiorców były organizowane na zamkniętych wieczorach tanecznych w Klubie Zw. Twórczych w Szczecinie występy satyryczne. Teksty tych satyr były rzeczywiście niekiedy dowcipne, zgrabne, świadczące o dobrej literackiej robocie. Cóż — kiedy tematy ograniczały się jedynie do utyskiwania na miejscowe bolączki życia kulturalnego w ogóle, a literackiego zwłaszcza! Zabawa — zabawa. Nic by nie można jej zarzucić, gdyby na codzień i równoległe z nią szły rzetelne wysiłki rozwoju własnych twórczych prób i poszukiwań literackich. Ale tu, jak wiemy, praca jest dość ospała.

Prasa lokalna i miejscowe placówki, odtwórcze (Radio, Artos etc), których potrzeby rosną, chętnie zwracają się do członków Koła Młodych w Szczecinie z propozycjami współpracy. Zdarza się jednak, że właśnie ze względu na własne, doraźne potrzeby akceptują materiały mierne, artystycznie niedopracowane. I te prace „idą”. Ukazują się w miejscowych gazetach, w radiowych audycjach. Ale — na zebraniach Koła młodzi autorzy nigdy nie przynoszą tych spiesznie, na zamówienie pisanych reportaży dla Radia, migawek, drobnych wierszy. Zdają sobie sprawę z tego, że poziom tych prac jest niski. Mimo to — nadal je podejmują. Tak źle pojęta i jeszcze gorzej realizowana współpraca prowadzi do pisania „pod redakcję”, która zazwyczaj sama już koryguje ideologiczne błędy czy potknięcia niedoświadczonego autora. Prowadzi do podziału pracy na „leworęczną” i „praworęczną”. Nie zrozumcie mnie źle.

Zdarzało mi się słyszeć w szczecińskim Radio dobre, ciekawe audycje, pisane przez członków Koła. Spotykałam w „Głosie Szczecińskim” udane satyry, dobre reportaże, których autorzy należą do Koła Młodych. Nie to, że członkowie Koła piszą do miejscowej, codziennej prasy czy Radia jest zjawiskiem niepokojącym — ale to, że produkują wyłącznie literaturę „objawową”. U najmniej wyrobionych taki znak równania między robotą dziennikarską, a właściwą pracą literacką budzi skłonność do pospolitego groszorstwa, do liczenia „twórczości” na — linijki maszynopisu, czy minuty radiowej audycji. U wielu powstaje przekonanie, że skoro ich prace są przyjmowane i wykorzystywane przez lokalne redakcje, są już oni gotowymi „literatami” i niczego więcej uczyć się nie potrzebują. Ale na tym sprawa się nie kończy.

Czy za ten stan rzeczy winić redakcje i członków szczecińskiego Koła Młodych? Nie. Pobudki, jakie skłaniają młodych autorów do przyjmowania redakcyjnych zamówień rzadko wypływają jedynie z chęci zarobku. Przede wszystkim chcą nareszcie zobaczyć swe prace w druku, lub usłyszeć je przez radio, wiedząc, że jednocześnie są one przez innych czytane i słyszane. Inna pobudka — to rosnąca w miarę próbowania swego pióra — chęć znaczenia we własnym środowisku kulturalnym. Tym gorzej, jeśli osłabionym. Tym gorzej, jeśli pozbawionym własnego pisma literackiego, czy aktywnych, licznych, doświadczonych twórców.

Autorytet? Pewnie, potrzeba autorytetu jest zrozumiała. Lecz zaczyna być uciążliwa z jakimś — zresztą nie istniejącym — „autorytetem ze stemplem”. W praktyce wygląda to tak, że niżej laureata Nagrody Państwowej I stopnia — właściwie autorytetu nie istnieje! Do czego zmierzam? Do tego, że mimo iż szczeciński oddział ZLP ani do najmocniejszych, ani do najbardziej aktywnych nie należy — znalazł w nim można starszych, doświadczonych kolegów, którzy w konkretnym wypadku z pewnością nie odmówiliby pomocy. Lecz istnieje niezbyt nawet otwarcie wy-

rażana nieufność do przyjęcia pomocy tych „niestemplowanych” autorytetów. Mówiąc po prostu — rzadko się zdarza, aby członkowie Koła Młodych tej pomocy szukali. Bierność i utarta droga przeczekiwania wydają im się znacznie pewniejsze. Przynoszą na zebranie „fragment” opowiadania, kilka wierszy, usłyszą, że warto jeszcze nad nimi popracować, oświadczą, że zamierzają to zrobić, a jednocześnie będą dalej kontynuować swe dorywcze robotki dziennikarskie i... tak miną tygodnie, miesiące, tak mijają już trzy lata istnienia Koła.

Istnieje również pewne zagadnienie, które można by nazwać obawą przed nauką na własnych błędach. Z góry negując, że w jego początkowych próbach te liczne nieraz błędy i potknięcia występują — kandydat na pisarza rezygnuje z najcenniejszych doświadczeń, których nie zastąpią najlepsze nawet wykłady czy dyskusje. Zamiast wahań i walk, porażek i radości drobnych — nieraz nawet zwycięstw — woli szukać pewnej, jak mu się wydaje i z pozoru wygodnej drogi recept, formulek i schematów.

Niedostatki warsztatu można jednak i trzeba wyrównywać nawet nie mając dostatecznej pomocy ze strony najbliższych otoczenia. Wzrost wymagań wobec debiutantów w redakcjach pism i wydawnictw literackich jest obecnie rzeczą całkiem zrozumiałą. Ludzie, którzy w tym roku czy w latach następnych zaczną próbować swych sił pisarskich, powinni już umieć sprostać tym wymaganiom. Wydaje mi się jednak, że to podwyższenie kryteriów oceny członkowie Koła rozumiały nieco opacznie, jako wzrost wymagań jedynie formalnych, żądanie, tzw. dobrego rzemiosła. Oczywiście, młody kandydat na pisarza powinien dzisiaj znać podstawy tego rzemiosła, powinien też pisać dobrą, piękną polszczyznę. Lecz przede wszystkim powinien mieć naprawdę coś ważnego do powiedzenia i mówić o tym swym własnym głosem. Nie nawołuję przez to do fałszywie pojętego indywidualizmu. Chodzi jedynie o to, że słoganość i werbalizm nieraz pojawiają się w pracach tych właśnie młodych, którzy początkowo zaciekawiali bardzo własnym, osobistym ujęciem tematu. Wyzbywają się własnego głosu, aby kumkać jednostajnie wzorem wielu żab na jednej łące, bo sądzą, że „tak jest dobrze”. A właśnie to, że tak łatwo ze swego głosu rezygnują, tak grzecznie go zmieniają jest niepokojącym zjawiskiem.

Spróbujmy teraz wyciągnąć konkretne wnioski dla pracy Koła Młodych w Szczecinie. Zgodzimy się chyba, że sztywne przestrzeganie rygorów jedynie organizacyjnych, frekwencji na zebraniach, organizowanie konkursów, imprez i występów do niczego nie doprowadzi. Braki warsztatu, czy luki wykształcenia ogólnego można i trzeba uzupełniać: samokształceniem, kierowanym przez starszych kolegów z oddziału Związku, imiennym zapraszaniem krytyków literackich z silniejszych ośrodków na wspólne narady i rzeczowe dyskusje, ściślejszym kontaktem z redakcjami pism literackich, które uważniej niż dotąd powinny czytać prace nadsyłane z odleglejszych terenów, udzielając konkretnych i rzetelnych odpowiedzi. Wydaje mi się także, że czas już najwyższy pomyśleć o systematycznej, stałej pracy własnej, której nie zastąpi dorywcze wykonywanie dziennikarskich „robotek”. A jeśli chodzi o „weteranów” Koła — może pora już powiedzieć z nimi po koleżeńsku, szczerze, co sądzą o dotychczasowych swoich próbach i czy nadal zamierzają w Kole pozostać. Bo Koło, mimo wszystkie swe niedostatki, istnieć powinno. Ale istnieć w formie żywych, twórczych poszukiwań, a nie w formie skamieliny niewielkiej grupki młodych czy nawet nie najmłodszych.

Wszystko to jest jednak znowu jedną tylko stroną medalu.

Z licznych anegdot o życiu Lwa Tołstoja utkwiła mi w pamięci scena, którą przytacza w swej autobiografii Stanisławski. Pewien literat namawiał niegdyś Tołstoja do współpracy z mającym właśnie powstać miesięcznikiem. Tołstoj uważnie wysłuchał gościa, potem powiedział mu na pożegnanie:

— Zawsze sądziłem, że pisarz pisze wówczas, gdy ma coś do powiedzenia, gdy coś dojrzało w jego głowie i przenosi to na papier. Ale dlaczego miałby pisać do miesięcznika koniecznie w marcu, albo w listopadzie — tego nigdy nie rozumiałem.

W tym właśnie sedno sprawy — drogi kolego! Piszcie uczciwie — wtedy, gdy naprawdę macie coś do powiedzenia. I piszcie prawdziwie — umiejąc walczyć o własny głos, damagując się rady, krytyki i pomocy, odrzucając kompleksy zapoznanej „prowincji”. Pracując z istotnej potrzeby, z pasją, z żarliwością, a nie z obawą w sercu, palcem na kalendarzu i zwłikiem recept za pazuchą — sądzę, że zdolacie się uporać z wielkimi trudnościami, które Was dzisiaj nekają. Kiedy? Wtedy dopiero, gdy przekonacie się, że zaspokajanie zamówień społecznych jest w pełni zgodne z własnymi ważnymi ambicjami i pragnieniami — bo służy tej samej sprawie.

LESZEK MECH

Pamięci ojca

Z tej drogi powrotu nie ma,
Jak nie ma powrotów gwałz,
Co żyły, krawczy jak ziemia
Aż jej wypalił czas.

Jak drzewa upite słońcem
Szumimy zielenią i wiosną.
I chciałoby się bez końca
Tak sumieć, kwitnąć i rosnąć,

I chciałoby się przez wieki
Oddychać żywicą jodeł.
I lecieć, płynąć jak rzeki
Z młodości w młodość.

Nim północ serce uparte
Wybije, nim oczy zgasną —
Zaprzęgamy do turbin wiatry,
Nocem dajemy jasność.

Dniom odbieramy gorzyc —
Wieków trujących szaleń.
Wykujemy dla ciężko chorych
Płuca i serca ze stali.

Ale wciąż na odległość dloni
Wyprzedza nas droga milczenia,
Podzwaniają kopyta koni,
Których nigdy w pobliżu nie ma.

Wyznanie

W kręgu światła pochylam głowę
Nad otwartym „Manifestem” Marksa,
A za oknem zamieć surowa
Akordami gniewnymi narasta.

Skrzypi wiatr, a mnie się majaczy,
Że ktoś w szyby pięściami uderza,
Więc powstaje od stołu i patrzy
W ciemność nocy oczyma żołnierza.

W kuchni matka zgarbiona praniem,
Aby płeć jej wyprostować
W każdy wieczór niezmordowanie
W kręgu światła pochylam głowę.

I dlatego bolą mnie oczy,
I dlatego sam płeć zginał.
Dziś wieczorem do późnej nocy
Będę czytał „Dziela” Lenina,

Jabłoń

Rozkwitła jabłoń w moim ogrodzie
Zielenią, wiosną.
Wiatry na palcach ogród przechodzą
Zdźbła traw podnosząc.

Odpoczywają na jej ramionach
W zielonym chłodzie.
Odlamkiem wojny jabłono żarłona
Kwitnie, by rozleść.

JERZY FELIKSIĄK (Łódź)

Nad rzeką

W zatoce zieleni wioskuje wiatr —
Przewodnik obłoków i liści.
W pobliżu na rzece z flisacznych tratw
Pieśń płynie na nutę „Przańszniczek”.

Choć jestem jak flisak — pieśnią mój spław,
Jak oni znam rzekę i młodość,
Nie umiem tak silnie, bez drżenia warg
Zaspiewać o tym co było,

Najdroższe mi imię spowite w żał.
Najdroższe wspomnienia są ciepłkie.
Nie poślę im pieśni po grzbietach fal,
Bo oni śpiewają piękniej,

Jak brzoza swym liściem gnany przez wiatr,
Flisaków podzwania ruch ręki.
A usta bez śpiewu chwala ich spław,
Tak warknięć, jak ta życzą rzeki,

„ŻÓŁTA BIBLIOTECZKA”

Od początku roku 1953 Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia” przystąpił do wydawania opowiadań dla starszej młodzieży (od 15 do 18 lat); prócz tego biblioteczka ta ma za zadanie obsłużyć i dorosłego czytelnika, szczególnie na wsi. W ciągu ubiegłego roku otrzymaliśmy ośmiem pozycji. Rzecz się w oczy ich pomyślała i praktyczna okładka, która zjednała serię popularną nazwę „Żółtej biblioteczki”. Jak zauważono z okazji ogólniejszych rozważań nad zesłoroczną produkcją wydawniczą — młodzieżowa biblioteczka N.K. to już nie broszury, lecz książki niewielkich rozmiarów, ładnie ilustrowane, drukowane wyraźną czcionką na dobrym papierze, wyposażone w estetyczne okładki. Za ten projekt seryjnej okładki należy się autorce Halinie Gutsche szczególna pochwała, chociaż dodać trzeba, że rysunki na okładce (już innych grafików) czasem wywołują sprzeciw. Ale sam pomysł przełamania szablono okładkowego, tak ważny, gdy chodzi o młodego czytelnika, jest doskonały, godny utrzymania i naśladowania.

Zajęliśmy się na początek tymi sprawami graficzno-drukarskimi, gdyż nie są one bynajmniej obojętne, a kampania rozpoczęta przez Z. Wasilewskiego na łamach „Przeglądu Kulturalnego” o podniesienie estetyki wydawniczych w nas książek jest warta podtrzymania i... realizowania. Nachwaliliśmy dosyć zewnętrzny wygląd biblioteczki rozejrzyjmy się w jej zawartości.

Dobrze się stało, że rozpoczęło biblioteczke opowiadaniem Maksyma Gorkiego „Jak się uczyłem”, poświęconym miłości i szacunkowi dla książki.

Przedstawiając własne dzieciństwo i otaczające je warunki, w których było „dużo bólu i okrucieństwa” Jlawiącego serce ostrym wstrętem! — Gorki pokazuje nam, jak książką wpoły w niego warł w człowieka, wzbudziły „herkulesowe pragnienie sprzątania Augiaszowych stajni życia”. To krótkie opowiadanie jest piękne i mądre, przepojone wiarą w to, że ludzie mogą stać się do brzy, jeśli zburzą się złe warunki, w których żyją.

Dużym atutem pozostałych opowia-

dań biblioteczki jest współczesna tematyka. Niewątpliwie najlepsze są dwa opowiadania: „Wieczór u Hanny Debiczka” Seibora Ryłskiego oraz „Powrót do Jasnej Polany” Jerzego Broszkiewicza — opowiadanie o sierotach wojennych wychowujących się w domach dziecięcych w Związku Radzieckim. Opowiadanie Ryłskiego, odznacza się dramatycznym nerwem i ostrością w stawianiu zagadnień, opowiadanie Broszkiewicza — ciepłym, serdecznym liryzmem. Dobrze również, że udostępniono czytelnikowi opowiadanie Hamery „Na styku” wyjęte ze zbioru „Drobniały wstępek”, gdzie atrakcyjność akcji, pociągająca młodego czytelnika, łączy się z zarysowaniem ważnych spraw. Opowiadania Hena „Smolakowo” i Bahdaja „Na śnieżnej trasie” poruszają ciekawe problemy, są poprawnie napisane ale to naprawdę wszystko. Za to o opowiadaniu Hena „Waruga nie pojechał!” — nie da się powiedzieć nic dobrego. Te idealne postaci bohaterów i ta dziewczyna, która zamiast pocałować się z chłopakiem żąda odeń, aby ją poinformował o tym jak się smaruje broń, może wzbudzić w młodym czytelniku tylko zrozumiałą nieufność. A przecież dla takich jak on przeznaczona jest seria.

Opowiadanie historyczne z początku drugiej połowy XX wieku — jak brzmi podtytuł „Nowej księgi dżungli” Osmańczyka — to pozycja odrębna na tle innych opowiadań, próba napisania opowieści o wojnie toczącej się na Malajach, rodzaj reportażu - opowiadania zbudowanego na kanwie wiadomości prasowych, zbeletryzowanie materiału publicystycznego. Osmańczyk jest pionierem w tej dziedzinie i ta pionierska próba wyszła mu wcale nieźle.

Podsumowanie jest chyba zbędne. Start „Żółtej biblioteczki” okazał się na ogół udany. W tych książkach za jedno złoty pięćdziesiąt, jak powiedziałby bohater Wiecha, można znaleźć — poza jednym wyjątkiem — dobry tekst literacki, starannie opracowany i wydany. I problemy, które młodzież naprawdę interesują. Aby tak dalej!

Ludwik Grzeniewski

JANINA DZIARNOWSKA

PIERWSZE UTWORY

Wiele się już pisało i mówiło o pracy Kół Młodych przy Związku Literatów Polskich, o pracy doświadczonych pisarzy z młodymi, o osiągnięciach i błędach, o planach i zamierzeniach. Rzadko natomiast wspomina się o pierwszym zetknięciu z „kandydatem na kandydata” — o młodym człowieku, który skądś — różnymi drogami — dowiedział się o istnieniu Koła Młodych i przychodził po raz pierwszy, przynosząc — przeważnie zeszyt wierszy — rzadziej — opowiadanie czy inny fragment prozy.

Jest to dział pracy każdego opiekuna Koła Młodych bynajmniej nie marginesowy, chociaż nie objęty jeszcze rytmem stałej, codziennej pracy z rozwijającymi się w ciągu lat nieraz członkami Kół Młodych.

Przyznam się, że biorąc do ręki taki po raz pierwszy przyniesiony zeszyt czy maszynopis doznaję zwiększonego poczucia odpowiedzialności. Prosta rzecz — członek Koła Młodych należy już do kolektywu. Jakiś mój błąd w ocenie jego pracy może poprawić kolektyw. Członek Koła Młodych przywykł już do krytyki i nieraz za mało nawet się nią przejmując. Ma już trochę pewnością siebie (dla odmiany często za dużo). Słowem — nie tak łatwo go skrzywdzić, potrafi on już bronić swojej drogi.

Inna rzecz, gdy chodzi o człowieka, który po raz pierwszy otwiera ciężkie drzwi wiodące do Związku Literatów, który rozmawia z opiekunem Koła Młodych nie wiedząc często kto to właściwie jest i co napisał. Przychodzi, aby usłyszeć wyrok. Wszystko jest dla niego symbolem. I dlatego ocena jego pierwszych prób jest zadaniem wyjątkowo trudnym i odpowiedzialnym.

Nie będę mówić o tych rzadkich wypadkach, gdy już pierwszy przyniesiony rękopis nie budzi żadnych wątpliwości, że ma się do czynienia z człowiekiem wybitnie uzdolnionym, gdy poprzez szwankującą jeszcze formę przebiega żywy nerw pisarski, siła wypowiedzenia, szczerość i odwaga.

Wątpliwości budzą utwory nijakie. Zeszyt, w którym jest wiele Majakowskiego i Broniewskiego. Prawie z reguły. Niespodziewanie często przebiega również rytym „Grenady” Świętłowa. Rządziej można odcyfrować inne nazwiska — Tuwima, Staffa, Konopnickiej — aż do Słowackiego.

Podleganie sile, czarowi cudzej poezji nie świadczy bynajmniej o braku własnych możliwości. Świadczy natomiast niezłomie o wrażliwości artystycznej, o zamiłowaniu do czytania, o zdolności odczuwania wzruszeń w kontakcie z mową

wiązaną. Ale jak wyłowić między cudzymi słowami te własne, jakim zmysłem sprawiedliwie wyuczć, gdzie się kończy powierzchowna zdolność układania słów a zaczyna mozolne szukanie własnej formy wypowiedzenia własnych, istotnych treści, których nie można nie wypowiedzieć?

Jeszcze trudniej jest, gdy w wierszu kuleje rytm i rym, gdy to jakieś nieuchwytnie „coś” kołaczę się niepewnie w ubóstwie słownictwa młodego adepta, w brakach elementarnych wiadomości o zasadach gramatyki i nawet ortografii.

Czasem, gdy już zdecydowanie odrzucam zeszyt — „nic nie warto” — przypomina się nagle uczucie wewnętrzznego popochu, które przeżyłam czytając wiersze Żeromskiego w jego dzienniku.

Nie, trzeba jeszcze raz powrócić, wyciąć się w te wiersze... Lecz jakie znaleźć kryterium poza znanym powiedzeniem Majakowskiego: „Podoba się — lub nie podobaj?”

Może istotną sprawą będzie zagadnienie treści? Nie „jak” jest to w tym pierwocinach wyrażone, ale „co” stanowi przyczynę wzruszenia, impuls, konieczność wypowiedzenia się w słowie artystycznym.

Pierwsze wiersze są przeważnie liryczne. To zrozumiałe. Z pewną nieufnością czytam zawsze wiersze okolicznościowe — napisane z powodu powstania jakiejś spółdzielni produkcyjnej, otwarcia nowego zakładu przemysłowego lub nastroju Zelempowców na Złocie Młodzieży... Prześląduje mnie wtedy jedna myśl, którą zwykłe potwierdza bezpośrednia rozmowa. Okazuje się, że przeważnie o spółdzielni produkcyjnej piszą stuorocentowe mieszcuchy, o zakładzie produkcyjnym inteligencji, którzy nigdy nie widzieli wnętrza hali fabrycznej (chyba na ekranie) o złości — niezorganizowani...

„Ale tu dotykamy rzeczy najbardziej może istotnej.”

To nie tylko dlatego, że młody autor myśli, że „tak trzeba”, że sięga do tematyki, która wydaje mu się najbliższą drogą do druku. Wiersze liryczne, wiersze osobiste zdają się również maskować, uciekać od spraw głęboko, bezpośrednio przeżytych. Student, który z zapadłej wsi przyszedł na uniwersytet do miasta i zetknął się z życiem zupełnie niepodobnym do dawnego — pisze o śniegu, padającym wielkimi płatkami, warszawiak ocierający się codziennie o odbudowę własnego miasta, które widział w gruzach i dymach pożarów, opisuje śpiew słowików i zakwitanie zbóż.

Każdy z nas starych pamięta swoje pierwsze wzruszenia; pierw-

sza praca, przyjęcie do organizacji, pierwsze publiczne przemówienie — zetknięcie z nowym środowiskiem, lek przed wyborem rodzaju studiów, wszelakie nieudane lub udane poczynania w gromadzie... Trudno doszukać się w „pierwszych” utworach śladów tych przeżyć, które każdy z młodych na pewno już miał. Istnieje w nich natomiast nierealny krajobraz, deklaratywny stosunek do osiągnięć planu sześciolatniego — i wreszcie jakaś „ona”, której przeważnie jeszcze nie ma...

W prozie te sprawy zaznaczają się jeszcze silniej. Pociągają tematy obce, dalekie — walka dokkerów francuskich (bo oni przecież walczą z kapitalizmem), przeżycia robotnika w Niemczech zachodnich. Jeżeli Polska — to z dziedziny najodleglejszej od własnego życia, lub też walka rewolucyjna z okresu dwudziestolecia, co dla dwudziestolnych autorów jest głęboką historią.

Ucieczka przed rzeczywistością? Bynajmniej. Ucieczka przed sobą. Fałszywe założenie, że literatura musi być czymś oderwanym od własnego życia. Czyta się taki utwór doznając wrażenia głębokiego nieporozumienia. I nagle — między wierszami przebiega to tajemnicze „coś” — chwila, gdy starannie maskujący się autor nie zdołał utrzymać linii i zaczyna wypowiadać siebie. Szczerość, potrzeba oddania własnych wzruszeń — zupełnie nieraz odległych od zamierzonego tematu przebiega się jak źródło przez grubą skorupę spieczoną ziemi.

Taki rękopis odkładam z przeświadczeniem, że autor nie jest grafomanem, że pisze z wewnętrznej potrzeby. Ze pragnienie wypowiedzenia się wypowiedzi go jednak ze ślepego zaułka. Powoli dojdzie do zrozumienia, że wszystkie ważniejsze fakty z jego biografii, które przemleczła wstydliwie jako nieistotne i „indywidualne” — są fragmentem historii, która tworzy on sam. Ze przez niego dokonuje się rewolucja, że on sam jest uczestnikiem walki klasowej, o której koniecznie chce pisać nie dostrzegając jej w swoich własnych przeżyciach. Że drobne fakty na tle olbrzymich przemian, o których chciałby opowiadać, nie istnieją same w sobie, lecz są właśnie tych przemian objawem lub przyczyną. Że stanie się pisarzem, gdy potrafi wypowiedzieć siebie — jako nierozrwalną całość wielkich zmagań całego społeczeństwa.

Ale do tego wiedzie go długa, żmudna droga — na której muszą być moze, znajdować się te wszystkie wiosny, słowiki i gwiazdy, cudze formy i niezrozumiane treści.

Janina Dziarnowska

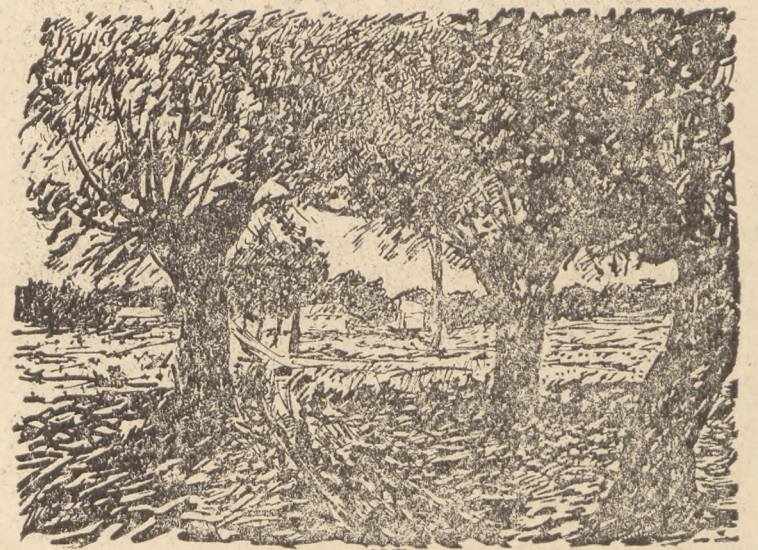
Maria Kurecka



RYS. JADWIGA ŁUSZCZKIEWICZ-JASTRZĘBSKA



RYS. DANUTA KONWICKA



RYS. MAREK OBERLENDER

MŁODZIEŻ O SOBIE

Dyskusja o młodzieży zapoczątkowana przez nasze pismo — mimo ogólnikowe nazwy — trafiła na dobry grunt, poruszyła opinię społeczną, rozwinęła się i nabrała cech konkretnej analizy tak ważnych zagadnień społecznych, jak walka moralności socjalistycznej z moralnością burżuazijną, metod nauczania w szkołach, metod pracy wychowawczej organizacji młodzieżowych.

O wielkim zainteresowaniu dyskusją świadczy m. in. fakt otrzymania przez naszą redakcję przeszło stu listów, korespondencji i artykułów od czytelników. Jacy to czytelnicy? Do jakiej kategorii społecznej należą ich zaliczyć?

Rzecz charakterystyczna: listy, które tak licznie napłynęły do naszej redakcji pisała przede wszystkim sama młodzież — na drugim miejscu (liczbowo) stoją listy nauczycieli, kierowników świetlic i innych działaczy kulturalnych.

Trudno — chociażby z braku miejsca zreferować wszystkie listy, trudno cytować je — szczególnie, że nie wszystkie z nich wnoszą do dyskusji nowe elementy.*

Ale warto zwrócić uwagę na ton, który w tych listach dominuje, ton — szczerości. Wielu czytelników zabierało głos w dyskusji, nie po to, aby zobaczyć swoje listy w druku (duża liczba anonimów). Czytelnicy pisali listy po prostu aby podzielić się z naszą redakcją swoimi myślami. („Nie chcę druku — pisała Anna Kania — Przekazcie mój list autorowi X — chciałabym, aby wiedział, co myślę i co czuję”).

Najwięcej listów wskazywało na konieczność wypracowania specyficznych form pracy organizacji młodzieżowych. Inne — te o charakterze bardziej osobistym — kończyły się przeważnie znakami zapytania („Mam takie to a takie kłopoty, waham się, nie mam odwagi podzielić się mymi wątpliwościami z organizacją, z wychowawcą — co redakcja myśli?”).

Wszystkie listy i te, które zajmowały się ogólniejszymi sprawami i te, które miały charakter osobisty — pomogły redakcji w poznaniu problemów młodego pokolenia i w umocnieniu przekonania, że dyskusja ta była potrzebna.

Dziękujemy więc naszym czytelnikom — korespondentom za tak żywy udział w dyskusji. Aby zaś zorientować ogół czytelników w treści tej listownej dyskusji i uczynić, że użyte tu zwroty (w rodzaju: „listy pomogły redakcji” — „listy wniosły nowe elementy do dyskusji”) — nie noszą charakteru grzecznościowego, publikujemy w obszernych fragmentach 3 listy możliwie najpełniej reprezentujące całość korespondencji (pierwszy list pisany jest przez studenta, drugi przez młodego nauczyciela, trzeci przez terenowego aktywistę ZMP).

Student

Czytaliśmy wypowiedzi uczestników narady w sprawie młodzieży, zorganizowanej przez „Nową Kulturę” w Domu Literatów w Warszawie, we dwóch z kolegą.

— Ob. Planerowa chce chuliganów uczuć miłoścami, ob. Kuśmierzek zaś przeciwnie — chce karać chuliganów bez uwzględnienia okoliczności łagodzących — stwierdził koleżka.

I zadaliśmy sobie. Cóż tu robić? Ja myślę, że lepiej uczyć niż karać (choć i kara może być nauką) ale uczyć czegoś innego: celu w życiu.

Bo coś mi się tak zdaje, koledzy, że chuliganstwo to bractwo anarchii. Anarchia chce widzieć jako skutek przewrotów społecznych bezład i bezcelowość.

Jej bractwem — chuliganstwo, widząc zniknięcie głównego bóstwa czasów kapitalistycznych — pienią-

dza, uznało, że nie ma żadnych bogów. Jak już wyzwolenie — to na całego! Chociaż w gruncie rzeczy odmiana chuligaństwa — bikiniarstwo jest w dalszym ciągu oddawaniem pokłonów staremu bóstwu. Oczywiście na modłę amerykańską.

Życie chuligana nie ma celu i treści. Wyładowanie sił twórczych pozbawione właściwego kierunku, często zwrócone jest na szkodę, zwrócone jest na szkodę innych.

Ukażmy więc tym negatywnym typkom prawdę, sens i cel życia! Głęboko mądre, ludzkie, humanistyczne jest stanowisko ob. Teichmy z Nowej Huty.

„Wśród młodzieży są i typy negatywne, ale jeżeli ukazać tam wielką rzecz to nawet oni... gotowi są... pracować bez względu na to czy mróz, czy deszcz.”

Sądę też, że nie wystarczy postawić przed nimi od razu celu: „SOCJALIZM”. To bardzo wielki pomnik. I niejedni mały człowiek nie obejmie go wzrokiem. Może wyjaśnić to na przykładzie:

Na szczybie wydobywczej w kopalni węgla, specjalnie przeznaczeni do tego dwaj górnicy podstawiają pod „idącą” tasmę wagoniki, w które sypie się „urobek” całego oddziału. Węgiel „idzie” to wolniej to prędzej — zależnie od tempa pracy na przodkach i filarach. Ale oto zbliża się koniec sypczy — „fajerant” — tasma jest przeladowana węglem. Wszyscy chcą zdążyć przed końcem pracy „wycisnąć” swój przodek czy filar. Ci dwaj przy wagonikach — trójka się. Wózek przebiegają z błyskawiczną szybkością. Węgiel już nie „idzie”, lecz — „pędzi”, tony spadają w ciągu minuty.

Oddział nie może stanąć. Bo przecież — PLAN! W mózgach dwu gorączkowo zwijających się ludzi nie jednak nie świdruje uporczywie: PLAN! Świdruje inna myśl: „Aby tylko dziś nie „stanąć”! PLAN — to za duży obelisk. Objąć go wzrokiem w takich chwilach nie-lekko. No, ale przecież: „Aby tylko dziś nie stanąć!” — sprawa namacalna, konkretna. DAJĄCA SIĘ OGARNĄĆ WZROKIEM — to właśnie PLAN! A bywa, że w usta hutnika, kiedy stękając z utrudzenia i gorąca przebiega mufłę Wielkiego Pieca, wkładają słowa: „Oto nowe tony surowców pod budowę fundamentów Socjalizmu”. Niektórzy każą mu w takim momencie przeżywać nawet zwroty psychologiczne: „I nagle wszystko stało się dla niego jasne...”

To poucza — jak słusznie stwierdził tow. Brendys — ale nie wzrusza. Korzystniej jest czasami ukazywać cel mniejszy, lecz bliższy.

Ot, tow. Szczesławicz pisze o chuliganach z Tarsówka, że pęła się do boksu i szermierki, ale po to by je uprawiać nie zdecydowali się pojechać do Warszawy. Dzielnico-wość, a może cel zbyt daleko?

Ob. Planerowa mówi ogólnie, że naszej młodzieży brak jest miłości. W moim pojęciu np. chuligan + miłość to tylko taki romantyczny chuligan.

Sądę, że prawdziwa miłość rodzi się dopiero w walce.

Najłepszy towarzysz, których KOCHAMY — to ci, co walczyli z nami w klasie o lepsze stopnie, ci, którzy szli z nami ramię przy ramieniu przy wykonywaniu planów produkcyjnych — to tacy, którzy w trudnych chwilach nas nie zawiedli. Ukażcie nam cele i sposoby jak o nie walczyć; miłość przyjdzie sama. Bezosobowy kult do zwierząt, kwiatów i ludzi jak tego chce ob. Planerowa — to mało przekonująca forma wychowania.

I jeszcze jedno: pominięto milczeniem w czasie narady ważny problem. Zagaćnienie to poruszał już red. Korotyński w „Życiu Warszawskim”. Chodzi o przywiązanie młodzieży do postępowych tradycji swojego narodu.

Są ludzie, dla których tradycje takie nie mają żadnego znaczenia po prostu dlatego, że ich nie znała. Oto przykład:

W ramach miesiąca przyjaźni polsko-radzieckiej pewien młody czło-

wiek, aktywista ZMP, miał prelekcję na temat wspólnych postępowych tradycji obu bratnich narodów. Kiedy doszedł do bitwy pod Crunwaldem oznajmił z emfazą, że w bitwie tej poważnie przyczyniła się do zwycięstwa... szarża kozaków kubańskich.

Naturalnie — ryk śmiechu. Cóż się jednak okazało? Kolega z aktywu był doskonale zorientowany w teorii poznania, potrafił laikiem objaśnić znaczenie słowa „adekwatny”. Gorzej było z historią własnego kraju i narodu. Płatał mu się Uniwersał Połaniecki z Kolałajem, Staszic z Kilińskim, Czarniecki wydawał mu się zamieszany w powstanie 1863 roku. Czy można wymagać od człowieka słusznej dumy z postępowych tradycji narodowych, jeżeli ich nie zna? Uważam, że osobnik bez żadnej tradycji, to jak ktoś bez gruntu pod nogami. Słusznie scharakteryzowano ich: „plywacy”.

Takie zjawiska jak chuligaństwo, bikiniarstwo itp. można określić ogólnie jako brak kultury.

Kultura człowieka to jego światopogląd, tradycje na jakich się opiera, sposób zachowania.

W szczególności zaś kultura socjalistycznego człowieka, to cały zespół zjawisk, których nie można rozpatrywać oddzielnie.

Słuszny był postulat tow. Bobińskiej, aby dać młodzieży takich duchowych przywódców, jak ów pisarz — marynarz Bywałow.

Ale gdyby — to tylko przypuszczenie — nie znalazł się taki człowiek? Czy wówczas z właściwym wychowaniem młodzieży byłoby całkiem źle? W podobnych sytuacjach jest zawsze rada: sięgajmy do historii.

Niekiedy wychowawcza rola postaci historycznych nie ustępuje roli osób współcześnie żyjących. Uderzył mnie charakterystyczny fakt. Wiele listów do redakcji, artykułów w gazetkach ściennych itd. podpisują autorzy: Kmiecie. Czy owa fikcyjna postać z literatury nie miała charakteru drogowesku dla wielu młodych serc? Czy nie porwała ich swoim temperamentem? (nie zawsze był to wpływ dodatni!). A przecież rzeczywiste postacie historyczne, postacie wielkich nauczycieli młodzieży, ludzi nauki, jak: Jędrzej Śniadecki, Joachim Lelewel — powinny poprzez literaturę piękną wywierać jeszcze potężniejszy wpływ na naszą młodzież. Czy wywierają?

W wielu umysłach snują się wprawdzie jakieś pojęcia, są to jednak wspomnienia o charakterze zasuszonych niezapomnień w albumach. Znaczenia wychowawczego — nie mają.

Apelujemy do Was — Towarzysze Pisarze! Uczynicie, aby zadumane, zmartwione czoło Joachima Lelewela było nam wszystkim zrozumiałe i bliskie!

Ryszard Klonowski
Warszawa-Anin

Nauczyciel

Na wstępie chciałbym się zastrzec, że będę pisał tylko o szkołach i młodzieży szkolnej, a raczej o tej części młodzieży, która utknęła w pół drogi od drobniomieszczaństwa do organizacji zetempowskiej.

Jakie jest u tej młodzieży „środowno domowe”? Rodzice wytręci z równowagi ogromnymi zmianami, jakie zaszły w ich życiu od 1939 r. do wczoraj, często żałują sklepów „przedwojennych”, żałują pensji o niebo wyższej od robotniczych stawek, żałują własnych kamienic, czynszów, zdzierstwa, oszustwa, sielanki życiowej kosztem — dla nich samych niby to niewiadomym. Uczą oni swoje dzieci: „Ograbiono was z wykultnego życia” i nie tłumaczą dlaczego. Dziecko szuka więc samo odpowiedzi na pytanie — dlaczego?

Na to musi odpowiedzieć szkoła. Młodzież przychodząca do szkół wszystko ciekaw. Młodzież dawnych burżujów spotyka się po raz

pierwszy z ludźmi, którzy wydzielili ich rodziców; drobniomieszczańska spotyka ludzi, o których rodzice zwykli mówić — ich rzady są sprawiedliwe na piśmie, a chamskie w praktyce.

Cóż dzieje się w szkole? Młodzież obserwuje, patrzy wnikliwie, z tą szczególną dla młodzieży zdolnością dostrzegania wszystkiego barwniej, w wyolbrzymionych rozmiarach, gdyż spogląda na życie po raz pierwszy. W jakim świetle czasami ogląda młodzież „sprawy dzisiejsze” niech powiedzą przykłady.

Po paru tygodniach istnienia kl. VIII przychodzi tam przewodniczący Zarządu Szkolnego i przynosi deklarację wstąpienia do ZMP bez żadnego komentarza. Wstępują więc. Wypisują deklarację. A iluż jest wśród nich takich, którzy wstępują tylko po to, aby zdać maturę, ilu dla przypochlebiania się wychowawcy, ilu dlatego, że „wszyscy wstępują to i ja”.

Z takiej niedojrzałej ideologicznej młodzieży wybierane są oczywiście zarządy klasowe, które z kolei wiódą pracę organizacyjną. Pożal się Boże i Zarządzie Wojewódzki ZMP nad taką pracą. Ogranicza się ona do czytania referatów raz w ciągu miesiąca i wciągania (dosłownie) nowych członków. Zapytajmy: a gdzie walka o nowego człowieka, o marksistę?

I cóż tu robić? Zwrócić się do Zarządu Wojewódzkiego? Ten pokaze broszurę, — „XII Plenum ZG ZMP” i podkreśli „zmniejszmy liczbę etatów”, co w tłumaczeniu na język terenowy brzmi: „musicie poradzić sami, my się nie rozedrzemy — ot co...”

Czerpię doświadczenia z kilku-nastu szkół ogólnokształcących z terenu wrocławskiego. W tych kilku-nastu szkołach apokarysko tak wygląda organizacja ZMP: od 3 proc. do 10 proc. świadomych marksistów, 80 proc. mniej lub bardziej wahających się i tyleż — od 3 do 10 proc. czystej wody wrogów ustroju. Ale Zarządy ZMP takim podziałem nie zawsze interesują się. W sprawozdaniach organizacyjnych są bowiem tylko takie rubryki, jak: wzrost organizacji, ilość zobowiązań indywidualnych i zbiorowych oraz liczba odbytych zebrań i wygłoszonych referatów.

Wielu aktywistów beznamiętnie goniąc za „wzrostem” liczbowym zasłania się słowami z XII Plenum ZMP „Należy wzmocnić organizację nowymi członkami”. No i wzmacniają, ale listy członków, a nie ZMP.

Tacy aktywiści zapominają, że obojętne zadania „wzrost liczbowy” trzeba koniecznie stawiać jako stałe zadanie: „wzrost szeregów aktywistów”.

Trzeba, aby sprawozdania zostały tak opracowane, aby dawały obraz pracy ideologicznej organizacji a przestały być ankietą ilościową zebrań.

Trzeba wypracować metody specyficzne dla młodzieży.

W jednej ze szkół wrocławskich praca ZMP zaczęła kielkować od urządzania wieczorków tanecznych. Młodzież rzuciła zabawy publiczne i domagała się częstych zabaw szkolnych. Cóż, gdy dyrektor oświadczył: „Nasze ZMP tylko by tańczyło. Najpierw — popracujcie”. Nieprawda. Tym się różni młodzież od dorosłych, że ma prawo do pracy poprzez zabawę, a nie do zabawy poprzez pracę.

Maciej Lazarek
Wrocław

Aktywista

Niezapomnianym okresem w moim życiu był pobyt w 292 brygadzie SP w 1953 roku.

Ale okres ten — nie był łatwy. W brygadzie panowała niezdrowa atmosfera. Szesnastoletni chłopcy zaczęli ludność cywilną, niszczyli mienie społeczne, nadużywali słówek „łacińskich”. a nawet zda-

rzył się wypadek pobicia niewinnego przechodnia.

W związku z tymi niezdrowymi objawami przed kierownictwem brygady stało poważne zadanie: jak najrychlej zapobiec tym chuligańskim wyrykom.

Zaczęliśmy akcję wychowawczą. Odczyty, wykłady...

Rezultat? Posypały się na mnie kłatwy i groźby. Przykro mi się zrobiło, że tak koledzy postępują.

Nie zaprzestałem jednak pracy. Zmieniłem tylko metodę. Zaczęłem przekonywać — indywidualnie rozmawiać z kolegami. Bez wielkich słów, tak jak się codziennie rozmawia w życiu osobistym. Prowadząc pracę polityczno-wychowawczą miałem jednocześnie na uwadze, aby nie tylko zachowywać ten dobronudny ton mowy, ale także razem ze wszystkimi kolegami bawić się, a nawet na niektóre „figle” przytykać oczy. Od tej chwili zmienił się stosunek kolegów do mnie i do dowódcy brygady. Zamiast wrogości, jak dotychczas, stałem się — lubianym kolegą. Toteż nie dziwnego, że w takiej sytuacji mogłem

znów przystąpić do akcji wychowania ideologicznego.

Rzuciłem też hasło w imieniu swojego IV plutonu do podjęcia zobowiązania dla uczczenia IV Światowego Festiwalu Młodzieży w Bukareszcie, podejmując się wykonywać codziennie 125 procent. Burzą oklasków powitano to moje wystąpienie i nie trzeba było długo czekać, gdy na apel naszego plutonu stanęły pozostałe plutony podejmując się wykonywać 170 proc. normy. Jakie było wielkie zdziwienie w całym zespole, a nawet w powiecie, gdy na drugi dzień po podjętych zobowiązaniach gruchnęła wieść, że siedmiu moich junaków wykonało 410 proc. normy a pozostali junacy od 300 — 370 proc. Inne plutony nie pozostały w tyle.

Piszę o tym wszystkim nie po to, aby się pochwalić, ale wskazać, że jedynie praca polityczno-wychowawcza w połączeniu z koleżeńskim, bezpośrednim, serdecznym stosunkiem do młodzieży da odpowiedni rezultat.

Mieczysław Kasula
Sandomierz

CZESŁAW BIAŁOWĄS (Wrocław)

KRZYŚKOWI Z PRZYRODY

Kręci się po wrocławskich gruzach,
Zrywa liście wyrzywa korzenie.
Czy to jakiś znachor lub guślarz
Z dni ubiegłych wrócił na ziemię?

Był zielsko u niego ma imię —
Babuleńka mi szepcze ze strachem.
Nie diabelskie ale łacińskie,
Więc to student, babciu, nie znachor.

Po ruinach kręci się, nie duży,
I nad każdym pochyla się listkiem.
O roślinach wrocławskich gruzów
Pisze, aby zostać magistrzem.

Spleśz się, dniom sekundy wykradają.
Bo ci kawał splata epoka:
Na ruiny buldożery wpadną
Jak zgłodniałe wilki na pokarm

Gruz wyrzucą, poryją ziemię,
Potem — nagle — nowa ulica.
(W Warszawie na MDM-ie
Rośliny są tylko w doniczkach).

Chrzest buldożerów, loskot łomów —
Po warszawsku, po polsku się zacznie
I pan magister zamieszka w domu,
Pod którym zbierał zielska cudaczne.

EUGENIUSZ BIEDKA (Warszawa)

PIOSENKA

Najpiękniejsze kwiaty rozkwitają wiosną.
Słoneczna pieszczota hojnie je rozsiłała.
Lecz nie dla mnie kwiaty w pogodny dzień rosną
— moja najpiękniejsza mnie nie pokochała.

Pod drzewo się skryli młodzi zakochani,
kiedy błyskawica ziemię całowała.
A dla mnie zabrakło drzewa i przystani,
bo ma najmilsza mnie nie pokochała.

Spełniłem zamlary i marzenia moje
i wszystko najlepsze od życia dostałem,
a jednak mi smutno i żalem się poję,
bo moja najlepsza mnie nie pokochała.

Chodzę ogrodami, cieszę się kwiatami,
przed przyszłością swoją nigdy się nie cofam,
bo wierzę zawzięcie, że szczęście się stanie
i najukochańsza wreszcie mnie pokocha.

Mai — czerwiec 1953.

* Autorom tych listów odpowiadamy listownie (Red.)

PIOTR CWIK

Złota korona

Świtem wyruszyliśmy z domu. Stryjowi chodziło o to, aby jak najwcześniej stanąć na miejscu, a nie zagrać koni zbyt ostrą jazdą; tak uchwalono poprzedniego dnia wieczorem, kiedy to stryj zjawiał się u nas, aby umówić konia na sprężaj.

Matka, mimo zapadającego zmroku, po wieczornym dojeniu, zajęta była skrobaniem ziemniaków „na jutro” i pragnąc wykorzystać resztki widoczności wyniosła się z kobiałką i garnkiem z wodą na podwórze. Usiadła na swoim ulubionym zydełku tuż koło drzwi i nucąc jednostajnie jakąś dawną melodię, zanurzała co chwilę rękę w kobiałce z lupinami. Prędkimi ruchami palców ogolaczała ciemnoburą bulwę i odruchowo wrzucała je do żelaznego garnka tuż obok. Bryzgające krople wody padały jej niekiedy na smutną twarz. Wówczas przerywała zajęcie i łokciem wycierała zroszone oczy, nie odrywając noza od trzymanego w drugim ręku kartofla.

Zmrok stawał się coraz szerszy: wyłaził z zaułków domostwa jak ciemny niedźwiedź z legowiska, ogarniał podwórze i sąsiednie zagrody. Po całodziennym krzątaniu nie coś układała się do snu w wieczornej ciszy. Żaden wietrzyk nie zakłócał jej spokoju. Czasem tylko zatukotał wracający z pola wóz, to znów ktoś daleko za wsią zaśpiewał — nie wiadomo co i nie wiadomo z której strony — a gdy zamikł, robiło się jeszcze ciszej, jeszcze markotniej. Nawet matka dała się ponieść myślom, bo jakosć przestęła nucić; przymknęła oczy na pół i zwyczajną swą czynność wieczorną spełniała jakby na pamięć.

Właśnie wtedy nadszedł stryj. Zbliżał się powoli, statecznie, krok za krokiem. W mroku wydawał się ogromnego wzrostu; olbrzymi jak parasol kapelusz, długie poprzeczne wąsiska wychodzące poza szerokość twarzy, upodabniały go do kopki konieczny ułożonej na rosochatym kółku, przykrytej rozłożystym snopem żłtyniej słomy.

Stryj przywitał matkę grzecznym napomnieniem, że to już za późno na taką robotę. Wyniosłem szybko z łby krzesło z oparciem, jedyne w domu. Stryj usiadł wygodnie, wyciągnął przed siebie długie nogi, obute w napoły rozlądane butelki z pomarszczonymi w harmonijkę cholewami, i oburącz przetarł twarz i oczy, ruch ten tchnął ogromnym zmęczeniem starych ludzi wsi, którzy mimo podeszłego wieku muszą jeszcze wykonywać pracę godną młodszych rąk i nóg. Białawe wąsiska od ucha do ucha jaśniały dość wyraźnie na tle ceglastoszarej twarzy, pomarszczonej na kształt cholewy buta. Od kątów oczu na skroniach rozchodziły się promieniście linie zmarszczek, jak dwa małe wachlarzyki, nadające spojrzeniu ujmujący i pogodny wyraz. Ruchem ręki zepchnął stryj kapelusz na tył głowy, odslaniając w ten sposób wysokie czoło, odgrózione od włosów wyraźnym paskiem bieli — widać, kapelusz nie schodził z głowy nawet w czasie największych upałów — po czym, zakomunikował matce żartobliwym nieco tonem:

— Wymieśliśmy dzisiaj naszą komorę. — Oczekał chwilke, potrzebą do skupienia myśli przy skreśleniu papierosa. Grube i ciemne jak gwoździe u bron palce i jak gwoździe u bron ziemią zniszczone, nieporadnie ochodziły się z cienutkimi skrawkami bibułki. Trzesąc się już ręką podniósł papierosa do ust, poślinił i powiedział dalej: — W tym roku tak jakś wycyrkowaliśmy, że do nowego starczy, ale już ani miarki znieść nie wolno. Trochę z tego zmieść się w żarnach, a resztę chciałbym jutro zawieźć do młyna.

Matka wrzuciła do garnka ostatnie kartofle, wytarła troskliwie nóż w zasłankę i zapytała:

— A dokąd zamierzacie jechać? Do Garliuka, czy może na Kotową?

— Wszędzie jeden diabeł — odparł. — Wszyscy oni jednako krądną, tylko każdy na swój sposób. Najbliżej byłoby do Garliuka, ale on taką makę dał, że chleba z tego nie upiec! Istna gлина! Co lepszego, drań jeden, miewtu sprzed, a chłopu spytowane otreby do worka wetknąć. „Chcesz, to bierz, a nie — to zabieraj swoje i idź do domu”. Wiedział, jak obrócił w plórkę? Najlepiej byłoby na Kotową. Ten jeszcze majątku nie zrobił, to mu na chłobie troszkę zależy. Ale taki kawał świata, a w dodatku nie wiadomo, czy do drugiego dnia czekać by nie trzeba było, bo żniąg do niego wielki. Umyśliłem sobie, że pójdę do Zawady.

— To nieźle. Zawsze to księży młyn.

— Makę to on ładną daje, trzeba przyznać. Ale jak zacznie odliczać, a to na rozsypek, to za stokłose, to znów za przemiał, a od reszty znowu procenty na otreby, na podzielną, to reszte by w cholewach przynosił. Ano, kiedyś też musi żyć.

— Nie gadać takich rzeczy — protestowała matka. — Że wy też każdemu musicie przysyłać. To nie jego wino. To te jego młynarczyki, dranie. Mój niebyszczek był cztery lata temu w Zawadzie, i też mu chcieli potracić dwadzieścia od sta, że niby ziarno nieczyste. W sam raz przyszedł proboszcz i mój do niego: „Księżo proboszczu, no jakiemu to?” Proboszcz zajął do worka i

kazał potracić tylko pięć. Widzicie? A zbeszał tego młynarza, ile wlażło.

— ... tak, tak, tak — upierał się stryj. — Raz pokrzączy, że potracił za dużo, a dziesięć razy, że za mało. Już tam oni obaj jednacy, ale dla ludzkiego oka politykować muszą. Najlepiej zająć jak najwcześniej, gdy proboszcz jest jeszcze w kościele, i młynarzowi w łapę włożyć.

— Opowiadacie, Józefie. Rano jechać trzeba, to prawda, bo później, gdy się chłopów naajeżdza, mogą nie przyjąć.

— Może i wam zabrać trochę zboża? — zaproponował stryj. — Ja tam swojego niewiele mam.

— Przydałoby się, bo żniwa na karku. Weźle w takim razie mojego chłopaka, przynajmniej wam konie przytrzyma w razie potrzeby.

Stanęło więc na tym, że pojadą ze stryjem. Rano, zaraz po wschodzie słońca, stryj zajął na podwórze. Doprzęgnął naszego siwka do wozu, dołożył dwa worki zboża i ruszyliśmy ku otwartej bramie.

Na białym gościńcu ułożyły się długie cienie przydrożnych drzew, jeden przy drugim, aż dźwi, że nie dudniło jak na moście, gdy stryj podciął konie. Tylko w oczach migające złośliwie, a chłodny wiew porannego powietrza wiał pod kosule. Zimno było. Powróciła senność. Przysłupiał się do stryja. Ten zajął mi w oczy i pocieszył:

— Gdy tylko przejdziemy przez wieś, stonczko nas ogrzeje. A skowronki jak zaczęła ciurkać! Popatrzy, no, popatrzy — dodał szybko. — Wojtki będą kosy klepać.

— aj zadarliśmy głowy do góry. Nie daliśmy sobie najmniejszego obluźnienia lejc i zwolnili kroku. Na Stachnikowej topoli przy końcu wsi, na krawędzi gniazda stały dwa bociany: jeden pogrążony w pysznej zadumie zdawał się pozować do fotografii, drugi szperał dziobem po gnieździe: dotknij tu i tam i nagle, nie podnosząc głowy, wprawia w ruch swoją czerwoną kołatkę. Nie przerywając klekotu, powoli, chępliwie unosił głowę coraz to wyżej i wyżej, przechylał ją do tyłu, układa wdzięcznie na grzbiecie, dziobem pionowo ku górze i tym samym statecznym ruchem przenosił ją do pierwotnej pozycji. Na zakończenie kilka odosobnionych kłapięć i w doskonałej obojętności, jak rutynowany aktor, nie oczekując nagrody za udany występ, dalej poprawia gniazdo.

— Mówią ludzie, że boćki podpalają domy, gdy im się krzywdę robi. Nie wierz temu — pęczał stryj. — W Italii, jakśmy byli, to tam ludzie łapali boćki na mięso, tak jak my kuropatwy, i nie im się nie dzieje. Ale boćki trzeba szanować, bo to ładne stworzenia.

Wiechaliśmy na bezdrzewną drogę o grubym podkładzie gliniastego piasku. Zwiłżony ranną rosą doskonale łagodził drgawki wozu. Jaskrawe słońce coraz mocniej naklawało policzki. Zrobiło się ciepło. Wóz kiwał się jak kółka na nieckowatych wyboinach drogi. Powieki znów zaczęły ciężać: zbyt wcześnie przepędzony sen dopominał się o swoje prawa.

— Stryju, daleko jeszcze do Zawady? — zapytał młodym tonem.

— Do Zawady? Jeszcze daleko. Spójrzaj prosto — wskazał biczyskiem — tam daleko na górę, między drzewami, czerwona dachówka! Widzisz? To zawadzki kościół. Koło kościoła jest młyn, ale go nie widać, bo stoi niżej. — Wyteżyłem wzrok. — I słusznie — dodał już jakby do siebie stryj — kół by tam wyjechał z załadowanym wozem, na taką górę.

— Czy w tym młynie straszy?

— Skądże! To nowutki młyn. Ile?

Ośmiem lat temu, jak go stawiali. Zresztą to księży młyn, prówicznany, i coby tam duchy robiły?

— A to czemu przy naszym kościele nie ma młyna?

— Czemu? Hm... — stryj zamyślił się przez chwilę, widząc pytanie wprowadziło go w zakłopotanie. — Jakos naszemu księdzu nie przyszło wtedy do głowy — tłumaczył, ale tak jakby sam najpierw chciał zrozumieć. — Teraz za późno, bo w naszej parafii jeden jest. Garluk go ubiegł. Zresztą, licha wie, czy nie jest jego współnikiem. Nasz proboszcz i tak bogatszy od tego w Zawadzie. Pola ma a pola! Niewiele mniej od naszego dziedzica z Szyszkowa. Lesu też niemało, krów ze dwadzieścia, a konie, jest ich chłwa z osiem, jak szatany. Konie ma ładne, to prawda. A ten w Zawadzie nie ma ani połowy z tego. Musiał więc sobie młyn postawić. No tak...

Stryj oddeł mi lecie, sam wciągnął tytoł i bibułki. Skrecając papierosa gwarzył sobie dalej: — Oni ohej nie bardzo się lubią ze sobą. Niby proboszcz z Zawady i nasz. Nasz, to jak hrabia przy tamtym. Do nas na odbusty, pamiętam jeszcze przed wojną, za nieboszczki Austrii, zanim mnie jeszcze w rekrutę wzięli, zjeżdżali się ludziska ze wszystkich stron. To ci byli odpusty! Kramarzy — jak na największym jarmarku w mieście. Bo nasza parafia ogromna. A do Zawady, co? — należał dwie wsie. A teraz na odmienne do nas mniej ludzi przychodzi, a do Zawady na odpust pół Polski się zwała.

— A czemu tak?

— Czemu? A bo w Zawadzie był cud — wyjaśnił stryj, zapalwszy wreszcie papierosa. — Nie było mnie wtedy. Byłem na włoskiej stronie. Armatnia kula miała trafić w kościół, a trafiła w drzewo i zatrzymała się. Więc zaraz po wojnie proboszcz ogłosił zbiórki na koronę dla cudownego obrazu w ołtarzu. Wtedy już byłem tutaj, wróciłem z wojny. Ich parafia niebogata, toteż ludzie z komitetu chodzili po wszystkich wsiach i zbierali, co kto dał: jajka, pieniądze, zboże. Przez pomyłkę poszli nawet do naszego Abramka. Ten nie namyślając się — dał. „Jak innym to pomoże, to czemu ma mnie pominać?” Trzeba ci wiedzieć, że od czasu tej kuli działał się w Zawadzie i inne cuda. Nie jednemu w chorobie pomogło, a jak susza była, to ludzie w zawadzki kościele deszcz uprosili. No więc ksiądz proboszcz pojechał do Krakowa zamówić koronę. Ze szczerego złota, z brulantami. Strasznie droga była. Mówili ludzie, że dwór by za to kupił. Potem była koronacja. Jak świat światem, tylu ludzi nikt w Zawadzie nie widział. Nasz proboszcz ponoć pierwszy z przycięcia wyjechał. Bo po nabożeństwie przyjęcie było ogromne, tak jak po naszym weselu. Było dużo księży i nawet sam biskup przyjechał. Nawet chłopów proboszcz zaprosił, coś ze dwóch, tych z komitetu. Jedzenia było, wina! Wio, gniade, tak tobyśmy na południe nie zajeżdżali.

Konie poczuły zapach rzecznej wody i zaczęły rażno parsknąć. Stryj zatrzymał wóz przed rzeką i rozejrzał się, kądędy naiplycej. Potem poklepał konie po karkach, wlażył z powrotem na wóz, ujął mocno lejcę i wśród głośniejszych okrzyków: „wio, wio, kasztan... siw...“ — niemal bez kłusek wiechaliśmy w rzekę. Konie rozbiłając wodę kopkami ciałny z wysiłkiem, a stryj chłostał je zawzięcie batem po grzbietach, nie dając ani chwili wytchnienia. Zatrzymaliśmy się dopiero na drugiej stronie, na suchym piasku, tuż przy brzegu. Konie robili bokami, strzygły uszami i parskali niespokojnie. Stryj znowu poklepał je po karkach, dał po garstce siana wyciągniętego snomiedzy worków, przemawiając pieszczotliwie: „no, kasztanki, no no...”

Po chwili ruszyliśmy dalej, więc powróciłem pytaniem do przerwanego opowiadania: — A ty, stryju, byłeś na tym koronacyjnym weselu w Zawadzie? Stryj popatrzył zezem na mnie, jakby nie wierząc w szczerść mojego pytania.

— Głupiś — odburknął. Po chwili dodał: — Za to pan dziedzic z Szyszkowa był. Był i przemawiał. — Wpadłszy w poprzedni nastrój, opowiadał już chętnie dalej. — No i wyszło parę tygodni, a tu jak nie gruchnie wiadomość! Złodzieje Matce Boskiej koronę ukradli. Najeżdżało się policji z psami, szukali, pytali — na nic. Proboszcz ogłosił nowennę: codziennie dniami i wieczorami ludzie modlili się, śpiewali, ale bez organów. I widział, synku — pomogło. Było to akurat o takim czasie, jak teraz. Nie, troszkę później. W Grabczymach chłop konił zboże, patrzy, a tu pod kosą coś zalaśniało. Jak lusterko na drodze. Ludzie, wety! — przecież to korona najświeższa.

Zbiegli się z dookoła, poklekali i zaczęli śpiewać różne pieśni, a nikt nie śmiał podnieść złotej korony. Posłali człowieka na koniu. Proboszcz przyjechał bryczką i dopiero wtedy z całą procesją odnieśli koronę do kościoła. Ktoś na poczekaniu te śpiewki ułożył, co ją teraz jeszcze śpiewają.

I stryj zanucił pod wąsem:

Korona w stołcu blaskiem
zajaśniała,
Pastuszek ułkł...
Pastuszek ułkł...

tylko, że to nie był pastuszek, imo kosiarka, ale „pastuszek” ładniej się śpiewa.

— A złodzieja złapani?

— Nawet nad złodziejem jest ułtowanie — jakoś wykretnie odpowiedział stryj. — W ostatniej chwili, widać, natchnęło go i chciał oddać koronę, pódzucił więc do zboża, bo wiedział, że wnet będą żniwa, to się odniejdzie. Po tym wszystkim ludziska zapomnieli o złodzieju, a proboszczowi też nie bardzo zależało na jego uchwyceniu, skoro laska go oświeciła i koronę zwrócił. Modlił się nawet za niego, niby za złodzieja, żeby mu było przebaczone.

Skreśliśmy na bity gościńcu. „Cesarski trakt” — powiedział stryj. Z naprzeciwiaka zbliżała się czarna karetka, zerżnięta w dwa siwe rumaki. Coraz wyraźniej dochodziły uderzenia podków w ubitą drogę: klap, klap, klap... raz w zredym szyku, to przez chwilę pomieszczone, ale po kilku sekundach znów równomiernie. Karetka szybko zrównała się z nami i zanim stryj zdolał zdjąć z słowy kapelusz, przemknęła obok. Na wysokim przednim siedzeniu sterzał nieruchomo woźnica, jak bociek na Stachnikowej topoli, tylko że jeszcze dumniejszy. Umundurowany jak policjant, z okrągłym kaskietem na głowie. Nogi, jak na śmiech, owinięte kocem, nieczym w zimie. Strzy bez pytania obieknął:

— To ktoś z zawadzkiego dworu, zdaje się zarządca i ten proboszcz, ksiądz Murek.

— A czemu ten pan na przedzie miał owinięte nogi jak w zimie? — zapytałem.

— To tak dla parady. Pański furman musi się tak ubierać. A to nie byle jaki furman. Hrabski! Hrabie mu u nas w wojsku jak wizytował pułk pod Wiedniem, meldowali się nie inaczej, jak: „Herr Ekscelex”. Nasz dziedzic przy takim — to dziad. Ten — Raczynski się nazywa — ma w Polsce coś ze czterdzieści dworów takich jak w Zawadzie. — Mówiąc to, wskazał batem na ogrodzony cementowymi słupkami i siatką ogród, ciągnący się długo koło drogi. W dali, między drzewami bieleli się olbrzymi, piętrowy budynki. — To pałac hrabiowski — rzekł stryj. — Tylko, że hrabiowski w nim nie ma. Jest za granicą.

— Gdzie?

— Za granicą. Taki jeździł sobie po świecie, gdzie tylko chce. On się nawet nie urodził w Polsce, tylko gdzieś w Anglii, i tam został ambasadorem.

— Czym?

— Ambasadorem.

— A co to ambasador?

— Ambasador. Hm... To coś jak prezydent, tylko nie musi w kraju siedzieć i pieniądze za nim posyłać.

— A jak nie posła?

— Eh, głupiś. Jemu właśnie dlatego posyłać, żeby tam siedział. Słyszysz, młyn idzie...

Poprzez liście drzew dolatywało ciche, a ciężkie sapanie: ach, ach, ach...

— To młyn tak sapie?

— A młyn. No, siedź już cicho i nie pytaj.

Sapanie ostarzało się coraz wyraźniejsze i ostrzejsze: czach, czach, czach... Zrobiliśmy jeszcze jeden zakręt. Na niewielkim placyku tuż koło drogi rozpiął się budynek przypominający wysoką szopę z małymi oknami. Do jednej ze ścian przyleżała niewielka murowana przybudówka, ponad którą wysoko sterczała czarna rura, przywiązana drutami do ścian i ziemi. Rura strzelała do nieba wybuchami i niebieskawym dymem. Całe zabudowanie trzęsło się i hurczało głośnie. Koło młyna na placyku stały dwie furmanki, a obok kilku chłopów z zafrasowanymi młunami. Na nasz widok jeden z nich oderwał się od grupki, uniósł kapelusz na powitanie i podszedł do stryja:

— Nie poszczęściło nam się, Józefie. — Stryj zatrzymał konie i pytającym wzrokiem spojrzał na znajomego. — Od dzisiaj już nie przyjmują na przemiał. Wczoraj proboszcz dostał jakiś większy obstałunek z miasta i chłopskiego nie miał.

— Taaak?... — wypowiedział z wolna stryj. Zagryzł wargi i w milczeniu popatrzył przed siebie. No, co robić? — odezwał się po chwili. — Próbowaliście gadać z młynarzem?

— Zamknął drzwi i z nikim nie chce gadać.

— Psiakrew! — zaklął stryj ze złością. Określił lejcę koło podkółka wozu, zszedł na ziemię i na dłuższy czas wdał się w rozmowę z chłopami. Po chwili wrócił, bez słowa odkroczył lejcę i zawrócił na drogę. Pozostałe furmanki uczyniły to samo. Jednak zamiast jechać w stronę domu, ruszył dalej przez wieś. Zatrzymali się wszyscy przed niewielką chatą o dużym podwórzu zaśnieconym resztkami siana i słomy. Stryj odpał koniom wędzidła i podstał siano. Do mnie zaś powiedział:

— Siedź na wozie i nie ruszaj się nigdzie. Ja się tu chwilę zatrzymam i potem pojedziemy.

Długo nie było go widać. Nareszcie wyszedł, bez kapelusza, a w ręce niósł białą bułkę. Nogi lekko się chwiały, a twarz nabrąla rumieńców. — Zjedz sobie, synku. Zaraz pojedziemy — powiedział i zniknął za drzwiami karczmy.

Wracaliśmy koło południa. Stryj podcinał konie i targał lejcę. Za wsią posłaskał mnie czule po głowie i dał kilka cukierków. — Wiesz, byłbym zupełnie zapomnieli, a to dla ciebie kupilem. He, he, he... A to ci ptaszek! Złotą koronę kupił, a kto ją tam badał... Hejże, koniska! — krzyknął donośnie i popędził je batem.

Konie poniosły jak wicher. Wóz skakał po kamieniach i jazgotał nie do przekrzywienia. Stryj wywiał batem nad głową, kłął i krzyczał to na konie, to do siebie: — A to ci dopiero! Wio, psiakrew, wio... — Nagle, spojrzawszy na mnie przekrwionymi oczyma, z całej siły ścisnął lejcę i niemal że na miejscu osadził konie. Uciszyło się. Stryj serdecznie przywitał mnie ręką do siebie i zaczął mówić:

— Ty wiesz, synku, jak to było? Wiesz? Złodziei nie był taki głupi, jak by się komuś zdawało, he, he... Widzi, że nie złota, tylko pozłocana, że nie drogie kamienie, ale szkiełka zwykłe, więc ja bez do żyta — ręką pokazał, jak to było. — Miał święta macie. Za takie nie tyle lat rzyszkować? A potem ni stad, ni z owad — młyn się stawia. To ci dopiero cud! Nie, synku?

— Co, stryju?

Stryj znów ponurzył na mnie, ale już jakimś odległym wzrokiem i cofnął rękę, która mnie obejmowała: — Nie! Cicho bądź! I nie gadaj, jak cie nie pyta!

I do końca drogi nie wypowiedział już ani słowa.

Plotr Cwik

RYSZARD HOSZOWSKI (Warszawa)

* * *

Nie nie widziałem — kolory tylko i kształty.
Nie nie słyszałem — sylaby tylko i tony.
Ja tęskniłem jedynie, gdy kształt był zatarły,
Ja płakałem jedynie, gdy ton był zmylony.

Obej mi był ludzki strach i gniew.
Ludzka miłość — niedosyt i gorycz.
Obca była mi i ludzka krew:
ja widziałem w niej tylko koloryt.

Do was to, ludzie, ten krzyk mój o przebaczenie,
o silny uścisk waszych spracowanych dłoni.
Nie pozwólcie, bym dla was mógł być tylko ziemią,
z której wy chleb zbierzecie, aby chodzić po niej.

13-2

EDWARD BERNSTEIN (Poznań)

Norwid

Więc znowu — Paryż? Znowu trzeba
Dźwignąć garb życia uciążliwy?
Więc — myśl sprzedawać za kęs chleba,
Czyż kupi syty ją, szczęśliwy?

Obłędne miasto. Giełda wrzeszczy,
Ulicą — karet karawany,
I tańczy w drgawkach tłum złowieszczy
Żadzą pieniędzy opętany,

I ogłaszają cnoty tuż
Ci, co się w ciepłe tucza złotem —
W salonie pani baronowej
Wielkością mieni się głupotę —

Jeśli majątna jest. Doprawdy
Godne ludzkości ideały.
I cóż on, dziwak starodawny,
Począć ma w tłumie ogłupiałym?

Zgorzkniał, kroczy ulicami,
Patrzy: zapustnych balów sceny,
Feeria światła oczy mami,
A obok — rude sutereny,

Tutaj konać z głodu. Kto go
Zrozumie, kto ironię pojmie,
Któż wie, jak boli każde słowo,
Gdy prawdzie daje ból rękąmni?

On nie zasłania się milczeniem
Przed zbrodnią, lecz targany gniewem,
Szlachetny — prawe się sumienie
Z pieśnią za ocean jak mewę,

A jednak głuchy jest na palby
Strzałów Komuny. Nie chce słyszeć
Tej zasypanej ziemią ciszy,
Gdy z Père Lachaise umilkły salwy,

Dla kogoż długie noce pracy,
Gdy słowa w gwarze innych giną?
Nie, nie słuchają go rodacy,
Jego, co nigdy nie znał czynu,

Nadejdzie starość — jak gruźlica,
I myśl, że życie jest śmiertelne.
Woskową łzę uromi świeca
Na rękopisy nieczytelne.

Samotnie przyjdzie mu umierać,
Z myślą o gorzkim kęsie chleba,
Z tęsknotą, która serce zżera —
Za skrawkiem ojczystego nieba,

Za brzozą srebrną, za topolą
Z gniazdem bocianim, niską strzechą,
Dymiącym o jesieni polem,
Wisłą, gdzie ginie mokre echo —

Błądził — ale gdy bolał, kochał,
Nie formą — prawdą była sztuka,
I ocalała jego strofa
Dla oczu wnuka i prawnuka.

BOGUSŁAW WOJNAR (Warszawa)

Muzykanci

Hej; cygańska! Hej, kapela!
Jeden skrzypek z węglem w oku,
Co się w świetle skrzy diamentem,
Lub ma czarny, jakby smoła
Obłą albo atramentem.
Ogniem poprzez struny ciągnie,
Ogniem pali struny skrzypiec
I z melodii tej ognistej
Wokół iskry tonów sypie.
Płoną skrzypce! Ogień trząska!
Buczą basy! Drżą gitary!
Dalej! Dalej! To muzyka!
Ta muzyka żarem pali!
Pędzą smyki poprzez struny.
Ledwo już ich dotykają.
Muzykantów pot zalewa.
Ale grają! Ale grają!
Nagle z jękiem pękła struna,
Cisza tylko w kóło dzwoni,
Muzykanci posmutnieli,
Ogień zagaś tak jak oni.
Tę zerwana strunę cykan
Wyjął, nową zamocował,
Cichy ton jej uchem złowił,
Starą do kieszeni schował.

WIERSZY

LUDWIK KAMIŃSKI (Szczecin)

* * *

Spotkałem ciebie cyganko
Wśród drzew opadłych z liści.
Szlismy na przeciw siebie,
Bylismy coraz bliżsi.

I zatrzymałaś mnie sama:
„Powróć, młody panie...”
I wzięłaś moją rękę
W swe smukłe śniade dłonie.

I wodząc palcem po niej
Mówiłaś — wygram tysiące,
A ja widziałem spod rzęs
Spojrzenie twoje drwiące.

Lecz nie wiesz cyganko piękna
Dlaczego ci wróżyć dałem:
Bo przez tę krótką chwilę
W twe oczy patrzeć chciałem.

MARIA DYBOWSKA (Warszawa)

Do małego Johna

Jesteś małeńki, John.
Bawisz się zabawkami.
Stawiasz z piaseczku babki,
łapiasz muchy do czapki,
a gdy cię coś przestraszy
chowasz głowę w płaszcz matki.

Jesteś małeńki, John...
A kiedy będziesz duży,
wsiądziesz w powietrzną fortecę
Wysoko w górę wleczisz,
nad radość młodych matek,
nad sen szczęśliwych dzieci,
nad cichych domów mury,
i ogniem z morderczych dział
będziesz im lekce dawał
„amerykańskiej kultury”.

Wiersze

Gdy nie wiedziałam
co już robić.
Gdy tukała się myśl chora,
Gdy nie wiedziałam
czym czas zabić,
przyszedł do mnie pewnego wieczora
Korczagin.
Mnie strach objął jak na egzamin,
a Korczagin zaczął
słowami:
„Widzę, że jakiś interes
do siebie mamy,
siadajmy!
pogadajmy!”

I

„Więc co, że leżysz lata,
łóżko zbrzydło...
to na pewno się zmieni.
A że wiesz co to śmierć
dobrze!
ona uczy życie cenić.”

II

„Nie dopuszczaj zwątpienia.
Gdy przyjdzie
w leń!
Recepty tej nie docenia
tylko kłopot!”

III

„Nie pisz wierszy o wiośnie
i rankach w błękitach.
Niech się w twych wierszach
rozpieśni
ludzkie życie.
Nie pisz wierszy o gwiazdach
i śniegu z pól.
Niech się w twych wierszach
rozpieśni
ludzki ból.
I nie mów nigdy
„niepotrzebny wiersz”.
W poezję co prowadzi żyć
wierz!”

IV

„A gdy cie nawalił
cios niemocy,
i kiedy ci rozszerzy
strach oczy,
to nie ustępuj,
nie ustępuj
ni krok
ni ćwierć!
Trzeba zwyciężać.
Trzeba zwyciężać
strach!
Śmierć!”

JANUSZ KONIUSZ (Stalinogród)

Figura

Na gotyckiej kościelnej wieży
Chrystus ma jedną rękę w chmurach,
to ludziom w boga każe wierzyć
w drzewie rzeźbiona figura.

Zobaczą ludzie w przyszłych wiekach
w figurze z podniesioną ręką
zwyczajny, prosty kształt człowieka
zaklęty ludzką pracą w piękno.

STANISŁAW WIESŁAW WIECHNO

Notatki osobiste

No cóż... Noc ta dżdżysta
była i wietrzna. Lucynka
drżała z zimna, zdjąłem
z siebie kurtkę. Nie godziła
się z początku, ona zmarzła
i ja zmarzłem, w końcu
nakryliśmy się kurtką oboje.
I stało się ciepło; niechący dłoń moja tra-
fiła na jej dłoń, tak zostało. Jak
dobrze tak iść dłoń w dłoń, ser-
decznie. Gdy przystaliśmy przed
jej domem, trudno jakos było się
roztąć, szłoby się tak dalej, razem,
choć zaczął deszcz i wiatr naginał
do ziemi przydrożne młode drze-
wa...

Następnego dnia otrzymałem list
od Basi. Byłem nim, jak zawsze,
bardzo uradowany. Jak zawsze
przecież, kiedy nadeszła pora przy-
jścia listonosza, czekałem na ten
list. Ale potem — potem, gdy prze-
czytałem, uczulem jakąś pustkę —
nie, tego nie można nazwać pust-
ką... Ogarnęło mnie rozdrażnienie,
zły byłem, że Basia pisze mi: „mo-
dle się na intencję twojej matu-
ry!...” „Drobnomieszczańskie!” —
wzruszyłem ramionami. Przejrza-
łem inne listy od Baśki. Uderzyły
mnie w nich niektóre zwroty, za-
uważyłem wiele śmieszności...

Przedtem wszystko to mi się podo-
bało, widziałem w tym jej indy-
widualność. Oto na przykład Basia
pisze zawsze „się” z kropką nad s.
Nie wygląda to przecież na błąd
ortograficzny, a takie przyjemne —
wiem przecież, że tylko moja Baś-
ka tak napisze: się. Ale teraz, teraz
to mi się nie podoba... Przecież ja
jej zwracałem na to tyle razy u-
wagi!

Wieczorem uczyłem się u Lucyn-
ki. Wspólna nauka szła nam ra-
żno. Nie wiem, jak to się nawet sta-
ło, że nauczyłem się wreszcie em-
ploi des temps en français.

Dlaczego ona mnie wtedy odpro-
wadziła do domu, no, przecież nie
prosiłem... Wszyscy później zaczęli
mówić, że się kochamy. Zły byłem,
co powie Basia, gdy się dowię? Po-
stanowiłem nie spotykać się z Lu-
cyką. Dlaczego więc ona staje na
mojej, na naszej drodze, skoro...

Nie odpisałem na ostatni list Ba-
ski. Właściwie — odpisałem, ale list
podałem — wydawało mi się, że
to nie ja piszę. Wstyd mi było po-
syłać. Na drugi — nie miałem już
sily.

Szybko mijały dni maja, zbliżał
się dzień egzaminu. Nie czulem te-
go, byłem zakochany. Wspólna pra-
ca z Lucynką była dla mnie szcze-
ściem. To, czego kiedyś nie lubi-
łem — ot, elektryczność w fizyce,
w matematyce liczby zespolone —
stało się, dzięki pracy we dwoje,
czymś bliskim, czymś, co zawsze
będzie nasuwać wspomnienia

szczęścia — jej uśmiechu, jej ple-
szczyty dłoni, jej dotyku włosów.
Otrzymałem alarmujący list od
Basi. Prosiła abym napisał, co się
ze mną dzieje, czy już naprawdę...
Prosiła, abym napisał jak najszy-
biej, jeszcze przed odjazdem jej
„Mazowsza” do Czechosłowacji. Ca-
ły dzień chodziłem jak pijany. Gdy-
by potem nie przyszła Lucyna, od-
pisałbym, powiedziałbym wszystko.
Może nie byłoby więc całej tej hi-
storii. Ale przyszła Lucynka i za-
pomniałem o liście...

Wieczór tego dnia był wyjątko-
wo piękny. Książę, jablonie... Mo-
kre od rosy kwiecie przyjemnie
chłodziło rozpalone twarze. Kon-
trolowaliśmy sobie wzajemnie za-
jomość słówek francuskich: jak mi-
ły natręt żartobliwie coraz częściej
przewijało się słówko „l'amour”,
„le coeur”, „chérie”. Oczy Lucynki
lśniły w świetle księżycza niezwy-
kle... Nie wiem, jak to się stało,
potem było już za późno... Gwia-
zdy, księżyc, jablonie — wir jeden...

Później, kiedy byłem już sam, u-
czulem, że mimo wszystko nie je-
stem szczęśliwy, że od tej chwili...
Widziałem siebie jak harmonie,
której perłową klawiaturę z kości
wyłamał ktoś brutalnym uderzeniem
pięści. Napisałem wiersz „Ja nie
kocham...” „Dziewczyno, ja ciebie
nie kocham — włosów swych roz-
pleć noc — i jeśli włosy zaplać —
niech błyszczą, niech błyszczą
lza... Nazajutrz nie mogłem spojrzeć
Lucynie w oczy. Wydawało mi się,
że widzę oczy Basi, zdradzone o-
czy.

Zwykły referat o moralności ko-
munistycznej wygłoszony na ze-
braniu naszego koła ZMP, bezbar-
wnie zresztą i nudnie dla innych
brzmiały, był dla mnie ogromnym
wstrząsem. Sumitowałem się —
„cóż to, ja — abstynent — cac-
kanie się z własnym sobą!” Ale
czulem przecież, że tu nie wszystko
w porządku.

Ostatnie dni przed maturą po-
zwoliły jednak na pewien czas za-
pomnieć o wszystkim. Lucyna nie
spotkałem przez dobry tydzień,
przynajmniej — jednak tęskniłem.
Późną nocą, kiedy na dworze jest
tak cicho, że aż dzwoni w uszach,
szedłem daleko w pole, rozpiąłem
kołnierzyk koszuli, wdychałem
świeże, jędrne powietrze. Brako-
wało mi go teraz coraz częściej,
ciężar jakiś kładł się na piersi...

Egzaminy zdałem nadzwyczaj po-
myślnie, wręczono mi kwiaty, ścis-
kano, gratulowano. Cieszyłem się,
jak dawno się już nie cieszyłem.
Właśnie otrzymałem pyszny bukiet
czerwonych kwiatów. W korytarzu
spostregłem Lucynkę. Była urado-
wana. Wręczyłem jej wianuszek.
Szlismy potem razem do domu,

wspaniała noc... Żal było się roz-
stawać, ale przyjechał już jej o-
jciec, odjeżdżała do domu. Ukrad-
kiem wymieniony pocałunek, do
widzenia!

Ciężkie są dni rozstania. Dłużą
się dni. Przychodziłem do piątej
klasy; słońce tylko myszkowało po
ścianach. Przez te kilka dni dąb-
rowieckie liceum wydało mi się już
tak odległe. Serdeczny żal chwylał
za gardło, kiedy przychodziło na
myśl, że się przecież już nigdy tu-
taj nie usiadzie, nie zostanie „wy-
rwanym” do tablicy. I tyle rzeczy
zdaje się już niepotrzebnych, które
się wkrótce zapomni...

W domu czekała na mnie karta
pocztowa od Basi, przysłana z Pra-
gi. Karta przedstawiała widok
hradczyńskiego zamku. Na sto-
ku wzgórz kwitły jablonie — przy-
pominało mi to boleśnie tamten
wieczór. Po odwrotnej stronie Ba-
sia pisała: „Przysyłam najgorętsze
podpowiadanie. Zawsze myślę o To-
bie — Twoja B.” Długo czytałem
te dwa zdania i żal mi było Basi,
i wstyd, ale już jej chyba nie ko-
chałem... To moje nowe szczęście
miało smak kradzionego owocu —
a wolałem. Zdłudne szczęście!

Spotkałem się z Lucynką, zgo-
dnie z naszą dawną umową, na
wiejskiej zabawie we wsi M. Jak-
że długo oczekiwane są chwile spot-
kań, ale jakie zawody nieraz one
przynoszą! Chociaż Lucynka przy-
witała się ze mną, zdawać by się
mogło, gorąco — wyczułem, że
zmieniła się. Nie spostrzegłem w
jej oczach tego płomyka, który pa-
lił się tam jeszcze niedawno. Twarz
uśmiechała się, oczy pozostawały
obojętne. Uczulem w sercu kawał
lodu — nie przeczuwałem, że prze-
stanie o mnie myśleć.

Dalsze chwile naszego spotkania
potwierdzały tylko to bolesne spo-
strzeżenie. Nie mogłem dłużej tu
pozostać, patrzeć jak inni się ba-
wią i tłumić własny ból. Zapro-
nowałem jej pójście do domu.
Za wsią wschodził ogromny, czer-
wony księżyc. Dątko za nami po-
została wieś, harmonia tęskliwie
spiewała „złomęch”.

Dłonie Lucynki były zimne.
— Wiesiek, nie miej mi za złe,
ale omylam się... — powiedziała
wreszcie.

Księżyc, jablonie — wir jeden...
W domu czego spostrzegłem, że
jestem cały zmoczony w rosie; nie
wiem, ile czasu błądziłem po polu.
Spokój przychodził trudno. Szczę-
ście zyskać i stracić je... No cóż,
można tam któregoś wieczoru, gdy
udaje się już, że serce nie strzyma
— przerwać tamę i wybuchnąć da-
wno nie goszczącym płaczem, mo-
żna. Pomocze, ulży. Można iść do
kolegi, dobrego przyjaciela, roze-

rwad się grą w szachy, zapomnieć.
Można. Ale tylko na chwilę, chwi-
le. Potem wspomnienia cisną
pięś. I wspomnieniom trudno po-
radzić.

Matce mojej podobał się wido-
czek przysłany przez Baśkę z Pra-
gi, przybiła go naprzeciw mojego
łóżka. Coś „an” protestowałem pier-
wszego dnia, wstyd mi było. Po-
tem przyzwyczaiłem się. Już wkrót-
ce nie wyobrażałem sobie pokoiku
bez tego widoczka. Kiedy budziłem
się rano, słońce padało właśnie na
ten obrazek i było to jakby po-
zdrowienie od Basi...

Wiele godzin patrzyłem na ob-
razek. Wiele wspomnień nasuwał
mi jego widok. Brzyśnych i rado-
snych, ciemnych i jasnych, jak on
sam.

Nie wytrzymałem w końcu i na-
pisałem do Basi list. Do dziś nie
wiem, co tam powiedziałem wtedy,
była to jednak powieść, powrót,
wszystko... Nie czekałem na odpo-
wiedź. Zdawało mi się, że na takie
listy odpowiada nie przychodzi.
Przysłał. Drżąc, rozdarłem kopertę:
„Wiesiek, kochany Wiesiu! Kiedy
się kocha, ma się wszystko do wy-
baczenia. Twoja Basia. P.S. Przy-
jechałam już z Czechosłowacji. Je-
steśmy bardzo zmęczeni. Nasze
„Mazowsza” naprawdę zdobyło so-
bie serca Czechów. Przyjadę do
Ciebie na rozdanie matury”.

W nabitę ludźmi salę głównej
dąbrowieckiego liceum czytałem na
pożegnanie swoje wiersze.

„Dziewczyno, ja ciebie nie ko-
cham”...

Nie. Nie takiego mi dzisiaj trze-
ba wiersza. Wziąłem do ręki ostat-
nią kartkę, przebiegłem wzrokiem
po rzędach nierównego pisma.
Wczoraj napisane, dać to ludziom?
Wiersz sam cisnie się na usta. To
przezony gość, otwórzcie serca:

Pamiętasz jeszcze, młota, chwie-
ni, jak tamtych nas wyczuł,
gdy sercu ciepło jest i milej,
jak po burzliwej, ciemnej nocy —
Od tamtych spojrzeń tak mi jasno —
i jedno wiem dziś, jedno tylko,
że twoje oczy mi nie gasną
i twoje usta mi nie milną...

Spojrzeniem ogarniam wsłucha-
ną salę. Wśród wielu, wielu oczu
od razu ujrzałem te — jedyne. Cie-
mne, głębokie, lśniące oczy mojej
Barbary...

Jeśli błądziłem, młota, przebac,
popatrz, jak niebo dla nas płośnie,
połaziemy razem pod tym ogniem
i tuląc dlonie w mojej dłoni
swa „Kukuleczkę” mi zaśpiewasz...

Oklaski, dyrektor wstaje, dzięki-
je... Nie słyszę, nie widzę. Patrzę
tylko w te oczy, oczy... Tak, dostrze-
gam w nich te płomyki, te płomyki
miłości, które — zdawało się — u-
traciłem już kiedyś na zawsze, bez-
powrotnie...

Stanisław Wiesław Wiechno

LECH EMFAZY STEFAŃSKI

Diabeł księdza proboszcza

Z pieca dymi się — to diabeł
do komina zagłada. Pło-
towe od zmroku kropie
tępcu tłułą skośnie w nie-
toprze skrzydła. Diabełska
pogoda! Od świętego Jana
czart nie opuszcza Trzebiśni.

Józefka na kolację gotuje mama-
łygę, a z pieca dymi się. W pokoju
filuje lampa naftowa. Ksiądz pro-
boszcz znów odkłada brewiarz. Zło-
ści się.

— Józefka! Niech się Józefka po-
spiesz!

Drzwi od kuchni otwierają się:
nad głową Józefki kłębi się dym.
Ludwinia podnosi głowę, znać ksią-
żki i w myśli upiększa: oto gruba
Józefka w barokowych obciach.
Mówi o czymś z wujkiem — z ba-
rokową przesadą. Ksiądz proboszcz
znów podchodzi do kredensu.

— Niech już Józefka idzie i za-
myka drzwi.

Któryś tam kieliszek ratafil. Za-
nim dogotuje się kukurydza, będzie
następny i jeszcze następny. W bře-
wiarzu znajduje się ten list z Mi-
nisterstwa Kultury. Dlaczego wujek
nie chciał powiedzieć, co tam pi-
sza? Ludwinia jest studentką hi-
storii sztuki, więc domyśla się:
chodzi o kościół w Trzebiśni.

— Wujku...

Diabeł tuż się po dachu, deszcz
po szybie, a ksiądz Fałęcki ma wo-
dniste oczy i biegającą grdykę, ale
ratafil nie rozwiązała mu języka.
Nie chce powiedzieć, tylko chowa
list gdzieś głęboko pod sutanne.
Podnosi przy tym sutanne jak spod-
nicę. Ludwinia przyryka oczy —
wujek ma pod spodem tylko tryko-
towe kałesony na bardzo cienkich
nogach.

Kościelny upił się i śpi w stodo-
le. Dopiero Józefka musi go obu-
dzić, żeby dzwonił na sumę. W ka-
zaniu księdza Fałęckiego i tym ra-
zem jest więcej o Szatanie, niż o
Bogu. Kazik Tur boi się diabła,
choć za młodość miał bardzo cienkie
nogach.

Kościelny upił się i śpi w stodo-
le. Dopiero Józefka musi go obu-
dzić, żeby dzwonił na sumę. W ka-
zaniu księdza Fałęckiego i tym ra-
zem jest więcej o Szatanie, niż o
Bogu. Kazik Tur boi się diabła,
choć za młodość miał bardzo cienkie
nogach.

Od kiedy biedniejsi chłopcy zaczę-
li mówić o założeniu we wsi spół-
dzielni — ksiądz proboszcz w swo-
ich kazaniach zaczął mówić coraz

więcej o panowaniu Szatana. Ka-
zik Tur strasznie boi się diabła,
wobec czego po sumie mówi do o-
jca:

— Tato, a jakbyś ja się z Helką
ożenił...

— Ty znówu?! Jak jeszcze raz,
to ci tak zerżnę tylek, że ruski mi-
siąc popamiętasz!

Młodsze siostry poszły prędzej, a
Helka z matką starannie omijają
kałuże. Filipczakowa pochłupuje:

— Ach, ty, Helka, żeby stary żył,
to by ci pokazał za twoje!... A
tak ja sama, sierota, nie na to nie
mogę!...

Helka też ma ochotę płakać, ale
musi trzymać spódnice, bo wiatr ją
co raz podrywa, obnażając zgrabne
łydki i aż powyżej kolan. Pokazy-
wać wstyd, chociaż nikt nie widzi —
chyba ten zły duch, co tak od świę-
tego Jana dokazuje z wiatrem. Hel-
ka też najbardziej boi się diabła.

Mańkowsy nie boją się, pomimo
że mają najmniej ziemi ze wszyst-
kich w Trzebiśni i wiedzą: im kto
biedniejszy, tym bardziej wszystko
złe do niego się czepla. Nie byli na
sumie, tylko siedzą w domu i roz-
mawiają z nauczycielem. Przed ro-
kiem Mańkowski wrócił z wojska,
ożenił się z najstarszą Filipczaków-
ną i zaczął namawiać sąsiadów do
założenia spółdzielni produkcyjnej.

Mańkowska gotuje kluski, a z pie-
ca znówu się dymi.

Józefka piecze koguta, ale w
całej plebanii czuć tylko dymem.
Na kolanach Ludwini leży gruby
tom „Żywotów Świętych Pańskich”.
Trzeba obciągnąć tę sukienkę (cią-
gle podjeżdżał), bo wujek patrzy.
Wujek na pewno domyśla się już,
że jestem niewierząca. Przez deli-
katność nie nie mówi, tylko dał mi
do czytania „Żywoty”.

Zresztą in-
teresujące — pasują do całej atmo-
sfery, do tego nastroju baroku.
Sam kościół jest co prawda z pierw-
szej połowy XVI wieku, ale dzwon-
nica ma oczywiście hełm baroko-
wy, który otrzymała po pożarze w
pierwszych latach wieku XVIII. Dzi-
siejsze kazanie wujka było wprost
cudowne, prawdziwie barokowe:
po prostu zdawało się, że wygłasza
je natchniony duchem konwulso-
macji Jezuita, a nie wujek, który
znówu wstaje, podchodzi do kre-
densu i pije już trzeci kieliszek ra-
tafil przed obiadem. Dym aż kręcił
w nosie. Nie całe trzysta lat temu
jeden ze świętych kazał spalić
cztery czarownice. Kazanie wujka,

niebieskie smugi kadziła, „Żywo-
ty”, zapach dymu jakby ze stosów
inkwizycji, słowa Józefki „diabeł
do komina zagłada” — cóż za wspa-
niały nastrój! Słuchaczka historii
sztuki studiuję ducha baroku. Cie-
kawo, co też było w tym liście z
Warszawy?

U Mańkowskich jedzą kluski nie
kraszone. Często są goście i prze-
prasza, że nie ma słoniny. Kluski
smakują jak wędzone, bo z pieca
dymi się. Pewnie dlatego niemowlę
ciągle wrzeszczy. Teresa odsuwa
talerz, odwraca się od nauczyciela,
żeby nie widział i obnaża lewą
pięść. Mańkowski potrzasa łyżką.

— Jak się tak już rok zastana-
wiała, to jeżeli nie nie stanie,
co by ich popchnęło, to możemy
organizować choćby jeszcze dzie-
sieć zebrzań gromadzkich i nic.
Ksiądz Fałęcki też robi swoje. Ni-
by wprost przeciw spółdzielni nie
nie mówi, ale przecie wiadomo,
przed czym tak piekłem i diabłami
straszy. A nie można mu zabronić,
bo zaraz się krzyk podniesie, że się
religie przesładowuje.

— Kluski całkiem ostygły panu
nauczycielowi — wtrąca Teresa.

— Zimniejsze lepiej smakują. Już
jem. Może by jednak porozmawiać
z tym księdzem, tak w cztery oczy,
co wy na to?

Po pieczonym kogucie Ludwinia
zdecydowała się wyjść na spacer.
Szkoda: Józefce nie przyszło do
głowy, że ksiądz proboszcza może
nie być w domu. Czego mógłby
chcieć ten nowy nauczyciel z War-
szawy? Bezbożnik, bo jest od mie-
siąca, a w kościele nie był ani ra-
zu. Cóż to za bezczelna propozy-
cja: ksiądz ma agitować na rzecz
spółdzielni?!

— Mocno żałuję, ale jako du-
chowny muszę odmówić udziału w
jakiegokolwiek akcji o charakterze
politycznym.

— Nawet wtedy, gdy chodzi o
podźwignięcie z nędzy większości
parafian?

— Modłę się o chleb powszedni
dla nich wszystkich.

Nauczyciel wraca do domu, a
ksiądz Fałęcki częstuje pana orga-
niste kieliszek ratafil. Potem
gdzieś spod sutanny wyciąga list,
czyta głośno i razem omawiają je-
go treść. Prawie szeptem, bo Jó-
zefka lubi podsłuchiwać.

Rano zjawiają się na plebanii
trzej panowie z Warszawy: dwaj
młodzi i jeden stary, z całej roz-

mowy z proboszczem udaje się Jó-
zefce usłyszeć tylko parę kawał-
ków zdań: „zaczniemy od prebiter-
ium”, „ruszłownia przywieźliśmy
ze sobą”, „najpierw zdejmijmy
niewielkie części tynku w różnych
miejscach, aby się zorientować...”

„O Jezusie Nazareński najśłod-
szy! Kościół nam będą rozbierać!
Matko Boska Częstochowska! Trój-
co przenajświętsza!”

Siostra Józefki poszła za Micha-
ła Turą, najbogatszego chłopca w
Trzebiśni. Józefka zostawia na o-
gniu patelnię ze słoniną, biegnie do
Turów i staje we drzwiach z zała-
manymi rękami, ciężko dysząc.
Wszyscy patrzą na nią — wygląda
straszenie. Robią okragłe oczy, o-
twierają usta. Turowa wykrzykuje:
— Jezus Maria! Józefka, co z to-
bą?!

Kazik podsuwa ciotną taboret. Jó-
zefka siedzi z opuszczoną głową, a
lży kapią jej na dlonie złożone jak
do modlitwy.

— Wy... nie nikomu nie mówcie,
co wam powiem... bo ksiądz pro-
boszcz mnie zakazał... Żebym niko-
mu... ale to nikomu nie mówiła...
ani słowa o takich rzeczach... co przy-
jechali dziś z Warszawy... O mój
Jezu, Jezusie najmiłszy!... I oni bę-
dą... burzyli nasz kościół...

Plaszany talerz wypada z rąk Tu-
rowej i z brzękiem toczy się przez
całą izbę.

— Antychrysty!!! Matko naj-
świętsza!!!

Kazik żegna się pobożnie, dziesię-
cioletnia Jadzia siada na podłodze
i zaczyna głośno szlochać. Tylko
Michał Tur przymiwa wiadomość
snośnie, uśmiecha się nawet.
Wstaje. Przeciaga się. Turowa nie
rozumie męża.

— A wy co na to, ojciec?

— Babskie gadanie. I tyle. Nie
tem nie będą burzyć.

Przestaje się uśmiechać, spluwa
ze wściekłością.

— Tfu! Czarcie nasienie! Mv im
pokazemy, diabłom, bolszewikom!...

Helka już wie: będzie miała
dziecko. Wpatruje się w mokrą szy-
bę. Czy w tym roku lato wcale nie
przyszedzie do Trzebiśni? Od święte-
go Jana deszcze i wichury. Diabeł
rzadzi we wsi: na polach wszystko
zanije, a w chałupach dymi się cią-
gle z pieców, bo diabeł lata z da-
chu na dach, z komina na komin i
do każdego zagłada. Jak też może
wyglądać diabeł? Powiadają, że ma
(Dokończenie na str. 7)

Wśród debiutów poetyckich

Wiersze gdańskie



Zbigniew Szymański

Zbigniew Szymański. Wiersze gdańskie „Czytelnik”. 1954. Str. 66.

Kim jest Zbigniew Szymański? Skąd się wziął tak dojrzały debiut poetycki? Trzeba zdradzić tajemnicę: autorem „Wierszy gdańskich” jest jeden z autentycznych budowniczych Gdańska. Wiersze jego nie powstały w aurze Kół Młodych. Są dziełem człowieka posiadającego już doświadczenie życiowe, a jednocześnie ukształtowanego dokładnie na poezji rosyjskiej klasycznej i współczesnej polskiej. Sam poeta tak określa swój program poetycki:

W pamięci pozostają wiersze
Twarde i szorstkie, ale lżejsze
Niż puch łabędzi, niż powietrze,
Wiersze bijące rytmem serca,
Po męsku ostre, dźwięczne, żywe.
Głęboko nieraz je przeżywałam,
Bo lubię ścisły, zimny wiersz.

Szlachetny i ambitny program artystyczny. Program poezji ścisłych rygorów, precyzyjnych określeń, a więc i precyzyjnych myśli, a jednocześnie mówiącej o człowieku i przemawiającej do człowieka. Jeśli można by mówić o jakiejś poetyce normatywnej, a w każdym razie o jakimś poetyckim „duchu czasu” sądzić, że ideał naszej poezji można by określić podobnie. Z jedną tylko zasadniczą poprawką: „ścisły, zimny” na pozór wiersz nie powinien się zamykać przed ciepłem a nawet upałem życia. Chcemy, aby głęboko grały jego wielkie i małe sprawy, ważne i najmniej ważne, ale stanowiące obraz świata — realia. Niech „zimny i ścisły wiersz” ani na chwilę nie kosztuje w artystowskim spokoju, ani na chwilę nie zastępa w pięknym, ale szczerze uprzedzonym geście.

Jak się dzieje w poezji Szymańskiego? Czy wniesiona do programu poprawka znajduje pełne odbicie w „gdańskich wierszach”?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba się nieco dokładniej przyjrzeć wierszom.

Tomik Szymańskiego zawiera wiele pięknych, dobrze napisanych wierszy. Zawiera kilka skończone udanych, doskonałych utworów. Do takich zaliczyłabym między innymi wiersz o Garcii Lorcie i kilka pięknych krajobrazów tkwiących w pułaskinowskiej tradycji. Tomik Szymańskiego maluje jego tryk pasie: pierwszą jest Gdańsk i jego odbudowa, drugą: piękno przyrody, trzecią: właśnie skończoność kształtu artystycznego, jakiś ideał formy bardzo klasyczny ale także trudny i „gustowny”, nie idący na łatwizny jako tako rymujących się sentymentalnych zwrotek. Przy odczuwaniu u nas nadmierze zieleń roboty poetyckiej — takie ambicje artystyczne — są na pewno godne pochwały. Patronem poetyckim Szymańskiego jest obok Puszkina — Mieczysław Jastrun. W jego wierszach widzi młody poeta „zakłętą kształt epiki”. Zbigniew Szymański ma skłonność do syntez historycznych, pociąga go w poezji Jastruna jej powaga i jakby spokój osiągniętej mądrości. Ale nie dość jasno widzi Szymański, że poezja ta od syntez, od tej mądrości historycznej nie wychodzi — ale do niej dochodzi poprzez radość i bolesne doświadczenia powszedniego życia. Poezja Szymańskiego natomiast jest świeżość, uroczysta, jest to poezja — ornament życia, ornament trudu raczej niż czule narzędzie poznawcze. Szymański świat opisuje. Jego obrazy jakże często zastygają w swoich pięknych kształtach. Nawet ludzie — budowniczości Gdańska, konkretnego miasta na mapie Polski — są często posągami. Przyciętym fragmentem dobrego wiersza „Chiny”:

Gdzie naród sprawiedliwą ręką
Rozdziela dobra, słabych wspiera,
Rodzi się w walce nowe piękno —
Budzi się radość i nadzieja.

Piękno surowe mego wieku
Nie jest ukryte w wodzie, w górach

I profil jego nie w marmurach
Zakłętą będzie, lecz w człowieku...

Nie mam nie przeciwko tego typu deklamacyjnym, patetycznym wierszom. Twierdząc tylko, że musi im towarzyszyć poznawcza realistyczna metoda widzenia świata z jego trudnościami i sprzecznościami. Prawdziwe życie szkodzi zarówno lakier jak brząz. Szymański jest kronikarzem odbudowy i piękna Gdańska. Ale nikt nie odgadłby w nim architekta i człowieka tkwiącego w

trudnych problemach odbudowy. On widzi i opisuje piękny Gdańsk, ale jego wiersze nie żyją problemami budowy, są podobne do wielu innych wierszy poetów, których urzeka piękno budowy i którzy zdroszczają architektom cyrkla i miarę ścisłości. A Szymański zabierając się do wierszy sam z własnej woli odkłada swój cyrkel i sięga po swoje piękne i szlachetne, ale jednak — konwencje. Nie stawiam tych spraw w formie zarzutu, lecz raczej w formie zadania dla poety, który tak umie nakładać sobie dyscyplinę. Książka poetycka Szymańskiego może być dla wielu czytelników rzetelnym przeżyciem artystycznym. Dla Gdańska jest to piękny podarunek od poety. Ale pragnęłoby się, aby dalsza droga poetycka Szymańskiego szła właśnie w kierunku oddania prostej prawdy życia i ciepła spraw ludzkich — co nie kłóci się przecież z precyzją artystyczną.

Tak się złożyło, że recenzja ta ma charakter polemiczny — polemizuje z dobrym poetą o jego poezję, aby była ona jeszcze lepsza tzn. jeszcze bliższa człowiekowi, bliższa nam, czytelnikom.

Dlatego też myślę, że najprawdziwsze, najrzetelniejsze w tomiku są te wiersze, w których poeta rysuje obrazy konkretne i pełne szczegółów zaobserwowanych i ulubionych. Te drobne wiersze są jak szkice, jak studia do przyszłego płótna. A jakże często szkice takie nie tylko trwają dłużej od kompozycji, ale też są nam bliższe, cieplejsze, prawdziwsze. Tu — nawet w krzywiżnach, błędach, głębszych lub płytszych torach ołówka jest żywa, ludzka ręka człowieka-artysty. Takim szkicem jest np. ujrzały nagle, choć codziennie widziany, obraz miasta w zimie:

Nad rzeką krętą i leniwą
Za pasmem ciemnych wzgórz
Od wschodu otoczony Wisłą,
Po której gęsta kora nadpływa,
Gdańsk stoi w białym, śnieżnym
Płazisku —
I potyskuje śnieżną wieź.
Lwy na przedprożach szczerzą
Paszcze
Tramwaj z Sianek aż po
Wrzeszcz
Przebiega z wierzgiem. Spod ratusza
Samochód z cęgą szybko rusza
I rycerz kutły wznosi miecz.

Anna Kamińska

Z widel Wisły i Dunajca

Tadeusz Nowak Uczę się mówić. „Czytelnik” 1953.

Z debiutami zdolniejszych młodych poetów jest zazwyczaj tak: zanim ukazuje się złożony w wydawnictwie tomik, zanim krytyka zobędzie się na recenzję (to drugie trwa zwykle jeszcze dłużej) — autor ma już szereg nowych wierszy, czasem — przygotowany nowy zbiorek. Tak jest dziś z Nowakiem. Jego tomik „Uczę się mówić” nie określa już poety, jest rejestracją jego pierwszych kroków w lirycę.

Debiut Nowaka ma w sobie coś głęboko szczerego i wzruszającego. Zza chropawej często powłoki wierszy wyziera ku nam obraz przeżytego człowieka, któremu nasz czas pozwolił przezwyciężyć trudne dzieciństwo chłopiejskiej biedy. Przez wiersze te widać w nich zaangażowanie wewnętrzne autora, widać coś więcej niż zamilowanie do dobierania słów i rymów.

Wiersze te układają się w jakiś jednolity krajobraz liryczny, który ukazuje nam „bliższą ojczyznę” poety: wieś z widel Wisły i Dunajca, jej zielono — wiślano — dunajcki urok, ciężki trud jej mieszkańców, jej smutną i bezlitosną przeszłość, jej zaciętą walkę o lepsze jutro, jej teraźniejszość i przyszłość pełną radości nadziei. Wiersze te są w najlepszym tego słowa znaczeniu młode, młodzieńcze w swojej bezpośredniości uczuciowej, świeże i śmiałe — przez brak stylizatorstwa, naturalność i plastykę obserwacji.

Wiersze te mówią wyraźnie o pierwszych etapach rozwoju poety. Tomik daje się dość wyraźnie przełamać na dwie części: w pierwszej przeważają utwory jeszcze niedobre, w drugiej — coraz lepsze. Najlepsze wiersze są przeważnie o znaczone datami 1949, 1950. Widać wyraźnie różnicę między nimi — a tymi, które zapewne powstały później. Wadą zasadniczą wczesnych utworów jest to, że poeta nie potrafił sobie poradzić z metaforą. Zamiast pomagać — przeszkadzała mu ona. Poeta nie wie jeszcze, że metafora musi powstawać z tego samego budulca, z którego wywodzi się styl i klimat całego wiersza, musi uwidaczniać jego treść, a nie kłócić się z nią. Nie wie, że jeśli napisać:

W smutnych piosenkach nadwł-
ślańskich,

W słowach krzepnących w granit
Matek i dzieci ból się ślaniał
I gniewu drżał dynamit

— to już ten „granit” nie wiadomo skąd się tu wziął, kłóci się z całą atmosferą utworu (nad Wisłą nie ma granitów) a „gniewu dynamit” pozbawia, że jest banalny, że się nie tłumaczy, bo skądże nagle dynamit przy opisie ubogiej wsi nadrzecznej. Jeśli poeta pisze, że „Dunajec z Wisłą dzieli ostatnią kroplę wody” — to nasuwa się refleksja,

że „dzielić ostatnią kroplę wody” mogą dwa spragnieni wędrowcy na pustyni, a nie dwie rzeki, w których pojedyncze krople łączą się a nie dzieją i w ogóle nic nie znaczą. Bardzo niedobry jest wstępny wiersz „Deklaracja”, rozpoczynający się od makabrycznego obrazu:

Usta mi piaskiem zasyp
i smolą wrzącą zaleję,
gdy wargi słów potoczę
nie będę chciał w pieśni.

Nie wiadomo przy tym do kogo zwraca się poeta z tą inwokacją i kto miałby być wykonawcą tak okrutnego zadania. Myślę, że żaden najsurowszy krytyk nie zaaprobowałby takich kar za nieudolne wiersze. Protest przeciw fideizmowi zawarty w słowach:

„Kocham
wszystko co człowiek stworzył,
by ziemi dodać światła,
a niebu ująć blasku

— jest też bardzo nieporadny, bo nikt nie chce piękniemu niebu blasku odejmować, a dwuznaczność tego zwrotu odbiera sens metafory. Złoty, nawet bardzo złych metafor jest więcej („ziemia — jak kość ostra — oddycha”, „ludzie, których bito, kopano w usta, w serca mężne”, „dłonią w biedoty sięgam dusze”, „jak ołów ciężkie słowa raniły moje usta”, „słowa kuję... żelaznym, twardym ogniem” itd.). Niezręczności te nikną w drugiej części zbioru, ustępując miejsca metaforze zharmonizowanej z atmosferą wiersza, oddającej coraz trafniej koloryt opisywanych miejsc i zdarzeń. Ładny w swej szczerzej prostocie jest wiersz „Bajka” — mimo nieco niezestrojonego z początkiem utworu infantylnego zakończenia, ładne „Wspomnienie z Zulaw”, gdzie właśnie po raz pierwszy poeta zdaje się trafić w sedno problemu właściwego zastosowania metafory.

Widziałem pola tuje pod wodą
Objęte krzykiem mew i czajek,
I wypalone muszle stodoł,
I ludzi, ludzi smutnych w maju.
Ryzykowne „mushle stodoł” — tu na „ziemi oddanej płytkim sadom, ludziom i fałom słonym” — jakoś się tłumaczy.

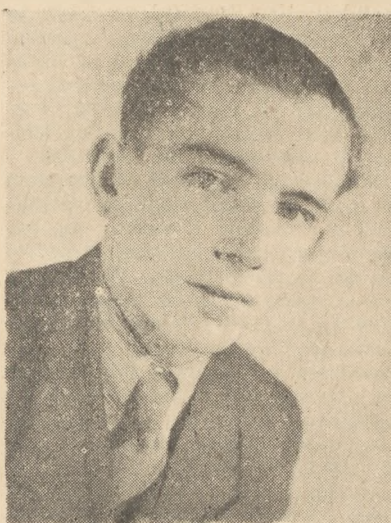
Najładniejsze jednak utwory rozpoczynają się od strony 34: wiersze takie jak „Geologowi”, „Równieśnikom”, „Nad wodą”, „Zakochani”, „Ballada o nocy zakochanej”, „Piosenka murarska”, „Przyjaźń”, „Górnikom”, „Do twarzyszy” zapowiadają poetę wrażliwego, czującego zarówno na sens jak na walor dźwiękowy i obrazowy słowa. Ukazują sporą skalę możliwości Nowaka. Zarówno erotyki, jak wiersze w tonacji młodzieńczo-bowej składają się z obrazów, a nie z abstrakcji. Tak np. wiersz „Nad wodą” w krótkiej migawce stwarza wrażenie nurtu, lekkości, wywołuje obraz dzweczącej, która w biegu strąca stopą piasek nad urwistym brzegiem rzeki:

Gdy się ziemia osypie
w nurt niesforny i czysty
jak odgarniesz lok z czoła
w żółtym wody potysku
A ja chciałbym, by woda
która dudni w kotlinie
powtarzała tuą młodość
zanim z rzeką upłynie...

Dokąd biegniesz? — Zaczekaj.
Pragnę w czystym strumieniu
twoje usta zobaczyć
i nasycić pragnienie.
Proste i ładne.

Ryszard Matuszewski

Agitować wrzuceniem



Bogusław Kogut

Bogusław Kogut — Dom ocalony, „Czytelnik” 1953.

Kogut ma ambicje poety politycznego, agitującego. Nie chce przeczyć tych możliwości, jakie nasze czasy podsuwają poecie czujnego sumienia. Spora część jego zbioru — to wiersze z kroniki bieżących wydarzeń. Źródłem ich inspiracji była gazeta, film, wydarzenie. Nie to mam mu, naturalnie, do zarzucenia. Chodzi o to, że o tych wydarzeniach dodaje od siebie. Weźmy wiersz „Phenian”. Jedynym obrazem poetyckim w tym wierszu są rozłożone drzewa przed oknem, którymi nie mogą się zapewne zachwycić mieszkańcy Phenianu. W tym podobnych anemicznych zestawieniach poeta dochodzi do przekonania, że serce jego nie zazna „pełnej radości ludz-

kiego szczęścia”, póki na świecie istnieje choćby jeden Phenian.

Są to słowa z pewnością szczerze. Ale komu wiersz ten — choć na mgnienie oka — uprzytomnił grozę koreańskiego zniszczenia? Czy po odczuciu wiersza czytelnik da wiarę zapewnieniu poety?

Cały „List do nieznanego towarzysza w Berlinie” pisany na berliński zlot młodzieży, zbudowany jest na tej zasadzie, że poeta nie zna ani towarzysza, do którego się zwraca, ani jego kraju, ani jego języka, i jakby z wiersza wynikało — dzięki temu wyraża z nim solidarność. Czytelnik nie jest w stanie przeżyć tak abstrakcyjnie pojętego braterstwa. Może lepiej nie pisać wierszy do nieznanego czytelnika?

Sucha retoryka, frazeologia, choćby najwznioślejsza, banał, choćby najświeższy — to najniebezpieczniejszy wróg agitacji, a to dopiero poezji agitacyjnej. Pod silnym ostrzałem tego wroga znalazły się również takie utwory, jak „Cichy Don”, „Salut przyszłości”, „Wyprostowały się drogi”. Młody poeta stał się tu ofiarą panującej wówczas etykiety: do dobrego tonu należało pisywanie wierszy okolicznościowych, czy kto miał z ich okazji coś do powiedzenia, czy nie. Dziś takich wahań poeci nie przeżywa: po prostu przestali pisać aktualne wiersze. Może zatem na czasie byłoby przypomnienie, że „Ballada o Placu Teatralnym” Broniewskiego, czy „Kronika” Ważyka, były też niegdyś wierszami chwili?

Agitacyjność wierszy Koguta wtedy nabiera siły, kiedy jest wyrazem przeżyć człowieka upolitycznionego (jak np. w „Miłości walczącej”). Najmocniej porusza przy lekturze „Domu ocalonego” rodowód własny poety, jaki z wierszy tych wyczuwamy.

Chłopskie dziecko — ja nie
z maków pszenicy,
ani z rosy na miedzach porannej,
ale z biedy, z nadmiaru gorczy,
i tęsknoty jak mrok nieustannej.
Ja nie z piosenki z wierzbowej
ligawki,
ani z smętków majowych
słowików,
ale z twardych rąk mojej matki,
z łez gorących i z krzywdy,
i z krzyku.
(„Pamiętam dobrze”)

Rodowód swój, jak widzimy, poeta wyprowadza przez kontrasty sielanki wiejskiej, usłwionej w poezji, i surowej prawdy, którą umie wyrazić równie surowo, prosto i obrazowo. Ten sam zmysł konkretnego obserwujemy w „Mojej ojczyźnie”, opartej na celowej dramatyzacji, narzucającej wierszowi swą istną rytmikę. Któż nie odczuje w tych prościutko napisanych wierszach skłupionej, hamowanej, ale zażartej i nienawistnej pasji?

Jak trafnie zauważył Śpiewak („Twórczość”, 2/54) nie ma u Koguta ani śladu wyobcowania ze wsi, tak znamiennego dla poetów międzywojennych, którzy z łatwością się „wysferzali” i z inteligencją poza wyższości spoglądali na prymityw i egzotykę wiejskiego środowiska. Przeciwnie Kogut. On z chłopskiego rodowodu czerpie poczucie własnej godności, swojej klasowej dumy. W sentymentach jego wierszy rodzinno-wiejskich nie ma ani śladu konserwatyzmu, tego, co Lenin nazywał przywiązaniem do „kupy gnoju”; jest natomiast, jak w wierszu „Elektryfikacja”, szczerza aproba dla wszystkiego, co wyrwa wieś z pierwotności i ciemnoty. Dużo bardziej trafia mi do przekonania ludowa konkretność, dosadność obrazu i języka omawianych wierszy, niż staroświecka, trącająca myśkłą, stylizacja (a la Lenartowicz, czy a la Konopnicka) w balladzie „Na rozstaju”.

Wiersze refleksyjne — wspomnieniowe wrzuszają i agitują: agitują co prawda w tej najogólniejszej płaszczyźnie: dawniej a dziś, ale dzięki walorom osobistego przeżycia nie rozpylają się w ogólnikowości czy tromtadracji.

Słabsze natomiast na ogół są wiersze z cyklu pochwał dnia powszedniego („22 godzina”, „Rozstanie”, „Czekanie”, „Zmierzch”, „Chwila”, „Córce koleśnika”). Chciał przez nie Kogut wyrazić poezję naszej codzienności. Zamiast niej często otrzymujemy banały („Jak w mur cegłę — kładę słowa i litery...”). Nie starcza tu poecie zdolności uogólnienia pewnych sytuacji, myśli czy uczuć, uogólnienia nie tylko trafnego, ale i oryginalnego.

Już po „Domu ocalonym” Kogut opublikował cykl wierszy z podróży po ZSRR w zbiorowym tomie „Wśród przyjaciół”. Jest to reporterka liryczna, sprzyjająca na ogół impresyjności. Tym bardziej warto podkreślić, że starania poety idą w kierunku zwiększenia rygorów, komponowania wiersza według określonego zamiaru poetyckiego. Świeżością pomysłu np. odznacza się wiersz do Mikołaja Ostrowskiego w formie melodramu. Wrzuszająca jest widokówka „Moskwa w nocy”, gdzie konfrontuje Kogut wrażenia z metropolii socjalistycznej z marzeniem o mieście, wyniesionym z dzieciństwa pod słomianą strzechą.

Niech mi surowość tych uwag nie weźmie autor za złe. Nie stawiamy sobie — co się aż nadto często zdarza — wymagań poniżej możliwości.

Tadeusz Drewnowski

JERZY HARASYMOWICZ (Kraków)

Koci bruk

Koci bruk
po bruku pani
idzie stuk stuk
na prymarie

Koci bruk
stuk stuk po bruku
idzie dziewczyna
topić się bo bez ślubu dziecko
niezmaaaaaaana wina

Koci bruk
a po bruku sunie brzuch wysadza
kanonik
miejscowa władza
stuk stuk

O rany
a zewrwiecież
do cholery
ten bruk
Asfalt
dajcie

JERZY SKOKOWSKI (Warszawa)

Pożegnanie z mistrzem

Mrok na niebie rozpostarł dlonie.
Księżyc pobladł. Gwiazdy mrugają w okno,
Wiatr szymbiada zadzwonił.
Nie odchodzi.

Rozśpiewały się dzwony, kuranty,
pięśnią smutną, pięśnią szeroką.
Dokąd to Mistrz Konstanty?
Dokąd?

O, przede mną drogi dalekie,
Do serc, do pamięci serdecznej.
Na spotkanie idę z człowiekiem.
A to jest droga w wieczność.

Trzy kobiety
pochylone nad grobem,
Żona, córka
i Niobe.

Przyszedł Stwosż
ukłękł przed trumną,
ucałował serce,
lirę siedmiostunną.

Zalamała konary
w rozpacz
biała brzoza
i zaniosła się płaczem.

Tylko ptak ukryty
na gałęzi drzewa
o życiu silniejszym
niżli śmierć — zaśpiewał.

Tak pisał, jak gdyby
na twardej płycie kamienia
ktoś miękki zarys chmury
utrwał od niechcenia.

Tak pięknie potrafił miłować
i o kochaniu śpiewać,
że majzykłejsze słowa
szumiały, jak struny drzewa
drzące w podmuchach wiatru.

Cały swój świat zaklęty,
którym strofy opromieniał,
pełen dziwnych instrumentów
ocalił od zapomnienia.

A to mnie najbardziej boli,
kiedy te słowa piszę,
że Cię już Mistrzu nigdy,
nigdy nie usłyszę.

Więc nie gniewaj się teraz,
bo zamiast pisać — płaczę,
że Cię już Mistrzu nigdy,
nigdy nie zobaczę.

I tylko wiatr na drogach
Twój cień przede mną poniesie.
Jak modlitwę odmawiam
wszystkie Twoje pieśni.

Obrzyjcie lzy z powiek.
Nie trzeba Go żegnać łzami.
Bo chociaż odszedł człowiek —
Poeta został z nami.

JANUSZ LASKOWSKI (Warszawa)

Rodowód

Mnie urodziła taka wiosna,
która nad wszystko trud wyniosła,
wyprostowała zgłębione karki
i nakarmiła głodne wargi.

Ja jestem synem takiej ziemi,
gdzie mówić się uczyli niemi
i ślepi się uczyli światła
w prostych literach abecadla.

Kocham tę ziemię, jej chcę służyć
i w czas pogody, i w czas burzy —
a jeśli trzeba, życie oddać.
bo jej na imię: moja młodość.

Jestem z takiego pokolenia,
które spod ziemi i z kamienia
wykrzesze prostą, ludzką miłość,
aby radośnie serce bilo.

Staw? mój wielki dom ojczysty,
gdzie dosyć chleba jest dla wszystkich,
gdzie twarz człowieka jest pogodna,
a przyszłość dziś zależy od nas.

Diabeł księdza proboszcza

(Dokończenie ze str. 5)

Krzydła czarne jak nietoperz, nogi ptaśki i psie uszy. Pewnie to bajda, bo czart — to duch, a duchy są niewidzialne. Helka została w domu sama. Rano powiedziała matce, że będzie miała dziecko. Filipczakowa zbierała się za głowę, krzyczała, płakała, przeklinała, na nic nie zważając, chociaż młodsze siostry Helki słuchały tego wszystkiego. Maryśka i Zośka musiały iść do szkoły bez śniadania. Matka posłała jeszcze przed nimi. Teraz wraca z drugiego końca wsi, od baby Wawrzyńcowej, za pazuchą niosąc zawiniętą w szmatkę czarne ziarnka sporyszu.

Na dziedzińcu kościoła stoi ciężarówka. Trzej panowie z Warszawy i szofer noszą składane drabiny i deski. Śmieją się przy tym, rozchlapując kaluże, rozmawiając głośno, ale nikt nie wie o czym, bo wszyscy patrzą z daleka. Nikt nie podejrzaje bliżej. Bo wszyscy już wiedzą: kościół będą burzyć. Niektórzy nie dowierzają, stają, przedziwiają, pukają. Otwiera Józefka. Oczy ma zapuchnięte od płaczu.

— Ksiądz proboszcz jest chory. Nie kazał mi nikogo wpuszczać.

— A może wy coś wiecie, Józefko, o tych tam?...
— Ja tam nie wiem o żadnym niczym, a ksiądz proboszcz jest chory.

Drzwi zatrząskują się. Michał Tur z tryumfem patrzy po twarzach.

— A widziacie teraz?! Doczekaliście się. Macie! Przyszli i do nas, sukini syny, robili swoje porządki. A wyszły, jak te bałwany, już się brali na ich różne gładkie słówka. No, chociaż, to sobie popatrzmy na te ich roboty. Podobno najpierw mają walić ścianę przy głównym ołtarzu.

Niektórzy chłopaki mają sekate kije, kilku przyniosło ze sobą nawet siekiery. Mańkowski od razu zdaje sobie sprawę, że może być nie-szczęście.

— Ej, wy, Tur, co wy to za propagandę siejcie! Jeżeli przyjeżdżają z Warszawy, to po to, żeby odnawiać, a nie żeby burzyć. A wy buntujecie! Chcecie takiego piwa nawarzyć, że...

Nie dają mu, dokończyć.

— Mlecz, diabelskie scierwo!

Kazik Tur widzi z daleka, jak ojciec wyraża się Mańkowskiemu. Chciałby podejść bliżej i posłuchać, co oni tam wykrzykują, ale boi się: ojciec zakazał mu wychodzić z domu, a on wyszedł. Ktoś skubie go za rękaw. Helka?

— Kazik, ja ci muszę koniecznie coś powiedzieć... o sobie i...

— Aleś się wybrała w dobrą chwilę! Tobie głupstwa w głowie, a tam przywiechali i chcą nasz kościół rozwalić.

— Boże miłosierny!...

Tapie Kazika za ramię, tuli się, powtarza:

— Jezus, Maria, Józefie święty, ratujcie!...

Kazikowi robi się jej żal. Obemuje ją. Znowu zaczyna padać deszcz. Od świętego Jana czart uważał się na Trzebiśnię i na nich dwoje, a przecież boją się go tak bardzo.

Filipczakowa zastaje izbę pustą. Ogień na kominku wygasł. Musi podpalić garść słomy, na słomę kładzie drewka. Z pieca dobywają się kłęby dymu. W garnuszku leżą już ziarna sporyszu zalane wodą. Dym gryzie w oczy. Filipczakowa mruczy:

— Ciesz się, rogaty diable, z tego mojego grzechu śmiertelnego, co go popełniał.

Ludwinia co chwile wychodzi do kuchni, żeby sprawdzić, czy ziółka się parzą. Józefka coś ponuro marmocze pod nosem, stukając fajerkami i ociera zalewione od dymu oczy wierzchem dłoni, z której ani na moment nie wypuszcza różańca.

Oczywiście Ludwinia znacznie wolniej przygląda się pracy konserwatorów, niż polę ziółkami chorego wujka, ale ksiądz Fałęcki bezwarunkowo pragnie ją mieć dłużej przy sobie, a upierać się nie wypada. A właściwie — dlaczego wujek chce, aby cały dzień przy nim siedziała?

Kościelny nie pomaga w ustawianiu rusztowań, ponieważ unił się z samego rana. Otworzył tylko kościół i poszedł spać do zakrystii. Nic go nie obchodzi ci z Warszawy. Ksiądz proboszcz powiedział, że go nie obchodzili.

W obronie Mańkowskiego stają dwaj bracia Tarkiewicz.

— Czego się piekicie, czego?! A bo na pewno wiecie, że mają kościół rozbierać? — mówi młodszy.

— Nie można to, zamiast tu kląć wyjechać, pójść do tamtych grzech i zapytać się, czy to prawda? — mówi starszy.

Proponują cię rozsądna, ale Michał Tur nie daje za wygrana.

— Akurat ci powiedzą. Nałgają, mamią ci się w nos i dalej będą robić swoje.

Kto kościół przechodzi stary Sulej, przewodniczący Samopomocy Chłopskiej. Przysłał, chwilę słucha i już wie, co się święci. Aż się łapie za głowę.

— Chłoni! Na rany boskie! Czy was diabeł opętał?! Opamiętajcie się!

W największej tajemnicy Zośka Filipczakowa opowiedziała wszystkim swojej przyjaciółce, Frani. Teraz szepcze już o tym cała klasa. Nawet do uszu nauczyciela dochodzi z tego coś nie coś: „Ja Helka Filipczakówna”, „powiedziała matka o tym”, „okropnie wzruszała”, „do baby Wawrzyńcowej”. Nauczyciel jest w Trzebiśni od niedawna,

ale wie, że baba Wawrzyńcowa jest znachorką. Na przerwie bierze Zośkę na bok i pocichu wypytuje. Zośka ociaga się.

— Nie chcesz mi powiedzieć? No, dobrze. A jak uważasz, Zosiu: czy według ciebie wolno zabijać ludzi? — Przecież nie wolno, to ja wiem.

— A jakbyś wiedziała, że ktoś kogós chce zabić, to starałabyś się temu zapobiec?

Trzej panowie z Warszawy przywieźli ze sobą książki, które Ludwinia przegląda, siedząc przy chorym wujku. W dwóch z nich są wzmianki o kościele w Trzebiśni. Wynika z nich, że zaraz po jego wzniesieniu, to jest w pierwszej połowie szesnastego wieku, wewnątrz zostało ozdobione malowidłami ściennymi. Co stało się z nimi później? Odtąd to: jak przypuszczają trzej panowie z Warszawy — malowidła uszkodził pożar, a ówczesny proboszcz, nie zdając sobie sprawy z ich wartości, kazał je podczas remontu po prostu zatynkować. I prawdopodobnie znajdują się pod tynkiem dotąd. Ludwinia jest studentką historii sztuki i w głębi duszy ma żal do chorego wujka, przy którym bez przerwy musi siedzieć, kiedy w kościele trzej konserwatorzy przystępują właśnie do sprawdzenia słuszności swojej hipotezy.

Słomiana strzechka przecieka w jednym miejscu. Deszcz znów pada i znów z pulapu koło pieca zaczyna kapkać. A z pieca się dymi, bo diabeł uwziął się. Filipczakowa widzi, że kapie. Niech kapie. Niech się z pieca. Siadła i siedzi — czeka na Helkę, która zagadnęta przez nauczyciela nie daje mu wcale dojść do słowa.

Niech pan nauczyciel lepiej pilnuje swoich dzieciaków, a nie miesza się do kogós. A Zośco, to ja już dobrze dam za to, że na własną siostrę opowiada. Ona opowiada, bo głupia, a każdy tylko dobrze przedstawia ucha, bo ludzie zawsze mają uciechę z cudzego nieszczęścia. Sama widziałam, dopiero co. — Helce lzy stają w oczach. Głos jej drży z żalu i złości. — Kazik Tur poszedł ze mną do ojca i powiedział, co i jak, że chciałby ze mną, załatwił to wszystko uczciwie. A stary w śmiech i na mnie, że ja niby za różnymi chłopakami lałam, to teraz mam za swoje. Tak mi w oczy kłamię i jeszcze się śmieje. A jak Kazik zaczął coś w mojej obronie, to tak dostał po głowie, że mu krew z nosa kapłała na ziemię przez całą drogę, jak go ojciec do chałupy prowadził. Za kark go prowadził i wymyślał. Za to, że Kazik przez sprawiedliwość nie dał na mnie wygadawać.

Wszyscy w Trzebiśni uważają starego Suleja. Dlatego zrobili go przewodniczącym Samopomocy Chłopskiej. Sulej dokładnie wypytal tych trzech z Warszawy i wszyscy w Trzebiśni wiedzą już, o co chodzi. Nie dowierza jeszcze tylko kulanwy Wilga, bo ciemny i Michał Tur, bo nie chce. Wszyscy w Trzebiśni mówią teraz wyłącznie o malowidłach, które mają być odsłonięte w ich kościele. Sulej dowiedział się, ile mniej więcej będzie kosztowało całe przedsięwzięcie: tyle tysięcy złotych, że wszyscy aż kręcą głowami. Tyle państwowych pieniędzy! A już niektórzy rozmawiają, że Rząd postanowił poburzyć w Polsce wszystkie kościoły.

Tylko pana organistę ma Józefka nakazane wpuścić do chorego księdza proboszcza.

Niech będzie pochwalony.

Pan organista jest wyraźnie w złym humorze. Józefka nerwowo mruga oczami zaczerwienionymi od płaczu i dymu, co go z pieca przez komin sam diabeł wydymuchuje co dzień od świętego Jana.

— Na wieki wieków — odpowiada, patrzy na pana organistę i stoi. — Co to tak Józefka patrzy i stoi? Nie ma księdza proboszcza?

— Jest ksiądz proboszcz. Tylko ja bardzo proszę pana organistę, żeby pan organista nie mówił księdzu proboszczowi, że ja się pana organistę pytałam, bo jak się pytałam księdza proboszcza, to był na mnie zły i powiedział, żebym się nie wtrącała do takich rzeczy. A ja całą noc nie mogłam spać z tego żalu i dlatego bardzo pana organistę proszę, że jak pan organista może, to żeby mi łaskawie powiedział, czy to prawda, że mają zbурzyć nasz kościół święty.

— No to niech Józefka nie płacze. Już teraz mogę Józefce powiedzieć: nie będą burzyć, tylko odnawiać.

— Bogu najwyższemu dzięki!

Jezu miłosierny! A to prawda, co pan organista powiedział?

— Prawda. Niech już Józefka nie wydyma, tylko idźcie powiedzieć księdzu proboszczowi. Mam do niego interes.

Teresa Mańkowska ze złością potrasza garncikiem z kartoflami. Mańkowski opowiada jej o zaściu z Michałem Turem. Do pieca trzeba było podłożyć, żeby ugotować dla świniaki, więc znów zaczyna się dymić. Pieklienna pogoda! Teresa przerwła mężowi:

— Czart się wściekł z tym dymem, czy co?!

— Diabli tam z dymem! Lepiej słuchaj, co ten sukini syn, Tur, sobie wymyślił. On przecież ogłasza tylko weszy za jakimś czymś, z czego by mógł zrobić propagandę. On dla siebie wie jedno: jak kto da mu się przekabacić i będzie przeciwko Rządowi to będzie i przeciwko spółdzielni. On się tej spółdzielni boi, jak diabeł święconej wody: zaraz by do niej poszli wszyscy

scy biedacy i ples z kulawą nogą szedłby do niego harować.

Na łóżku siedzi Zośka i okropnie płacze a na stole przed Helką stoi garnuszek z odwarem przeciżonym przez szmatkę. Filipczakowa dobrze uważa, czy Helka pije.

— No, Helka, przeżegnaj się i od razu. Do dna.

Nauczyciel mówił: dawniej tak było trzeba, ale teraz nikomu nie wolno złego słowa powiedzieć, że panna i ma dziecko.

— Mam się przeżegnać i popelić śmiertelny grzech.

— To mój grzech, Helka, bo ja ci kaze.

Lęk gorzkiego płynu. Garnuszek znów stoi na stole.

Zośka zakryła oczy: nie chce patrzeć, jak przy niej zabijają człowieka — jeszcze nieurodzonego, ale człowieka. Ona przecież nie na to nie może poradzić.

Nareszcie przyszedł ratunek! Jak to dobrze: wujek sam prosił, aby Ludwinia zastawiła go z panem organistą. Pęchł co tohu do kościoła, z którego zataczając się wychodził właśnie kościelny. Przy samochodzie stoi szofer. Głośno przeklina: ktoś podziurawił wszystkie opony.

Ksiądz Fałęcki też przeklina. Nie liczy się ze słowami.

Niech się ksiądz opamięta! Spaliło na panewce i trzeba sobie powiedzieć: trudno. Ksiądz mówi takie rzeczy! To nie wypada. Stanowczo.

Kubeczek z ziółkami roztrząskuje się na podłodze. Pan organista stannie ociera chusteczką pochłapanie nogawki.

— Ale z księdza pasjonat! Ja rozumie: szlag może człowieka trafić, że mury kościoła stają się środkiem komunistycznej propagandy.

W drzwiach ukazuje się przerażona Józefka. Na widok księdza stojącego w kalesonach na środku pokój — zakrywa oczy.

— Józefka, do ciężkiej cholery! Gdzie sutanna?!

Józefka nie nie rozumie: dopiero co ksiądz proboszcz był chory. Mówiła panience: bądź przy mnie, nie wiem, mogę przecież umrzeć.

Nauczyciel namawia Teresę Mańkowską:

— Spróbujcie może wy. To wasza siostra. Mam przedzę ucie się przemówić jej do rozumu.

Mańkowski zaciąka pięść.

— Idź. Ode mnie powiedz też. Jak kto na nią złe słowo powie, to ja mu tymi reklamami kark skroczę. Tak jej powiedz.

Maryśka szturcha siostrę.

Nie rycz tak, Zośka.

Lęk gorzkiego odwaru i wspomnienie słów nauczyciela: Państwo teraz nie różniła dzieł słubnych od nieślubnych, ani matek zameżnych od niezameżnych. Filipczakowa gładzi córkę po głowie.

— No pij, Helunia, pij.

Znów lęk i echo słów: trzeba przeciwstawić się staremu przesa-dowi, przyszyj nowe czasy.

Maryśka szturcha siostrę.

— Zośka, przestań ryczeć: już po wszystkim.

Kiedy Mańkowski przychodzi w sprawie Helki, dowiaduje się, że Helka śpi, i że już po wszystkim.

Michał Tur przecenił siłę swojej ojcowskiej władzy. Gdyby wtedy przy Helce nie był Kazik, może by Kazik nie zbuntował się i nie stałby teraz przed Mańkowskim. W rękach trzyma papieraek.

— Ja tak wszystko zrobiłem, że ojciec nie wie, że mi dali to zaświadczenie. Ale i tak wszystko jedno, bo mam dziewiętnaście lat, to znaczny jestem pełnoletni.

Mańkowski czyta papieraek. Dławi się.

— Macie własną ziemię?

Takie trzy mogiły pod lasem. Jak się urodziłem, to ciotka Józefka na mnie ze swego kazała przepisać. Ja was strasznie proszę, panie Mańkowski, żebyście mnie wzięli do waszej spółdzielni. Ja już tak dłużej nie mogę, a wam się te trzy mogiły też przydadzą, nie?

— Nie wam, tylko nam. Nam się przydadzą.

Ksiądz Fałęcki ma dziś zły dzień. Na uroczystość odsłonięcia odnowionych malowideł przyjechał sam biskup, a z samego rana diabeł skusił proboszcza na parę kiełbas-ków ratafii. Biskup nie uwierzył, że zapach alkoholu pochodzi od luku mszalnego wina. Powiedział kilka przytychych słów, bolszewik jeden. Z pasją rozdeptuje ksiądz Fałęcki tafelki lodu na kalużach. Trzeszcza sucho i wrogo. Biskup idzie przodem, wesóło gawędząc z Ludwinia, która za temat pracy dyplomowej ma zamiar wziąć „malowidła wczesno - renesansowe w Trzebiśni”. Bolszewik! Kazanie było przesłanką propagandy. I na wspomnienie błogosławieństwa u-dzielenego spółdzielni — ksiądz proboszcz wyżywa się, kopiąc kamień leżący na drodze.

W kościele zostało jeszcze sporo ludzi, żeby lepiej obejrzeć malowidła. Biskup powiedział, że ich kościół będzie teraz znany w całej Polsce. Kazik z Helką też zostali, ale Kazik patrzy wciąż na Helkę zamiast na ściany i bezskutecznie stara się nie myśleć o tych rzeczach, bo w kościele nie wypada chyba nawet, gdy chodzi o własną zone.

A Helka z uwagą przygląda się właśnie jednej z namalowanych postaci: diabłu. Tak go sobie wyobrażała: ma skrzydła czarne jak nietoperz, nogi ptaśki i psie uszy. Ale za nic Helka nie przyznałaby się, że z twarzą już duch przypominają jej trochę księdza proboszcza. Fałęckiego. Lech Emfazy Stefański

WACŁAW SADKOWSKI

Przed wszystkim — „historia upadających“

Debiut krakowskiego pisarza Ryszarda Kłysa „Ostatnie słowo ma człowiek” (*) przyjęty został przez dotychczasowych recenzentów przychylnie i określony zgodnie jako powieść o budowie miasta Nowa Huta.

Powieść Kłysa jest istotnie ostatnią już chyba z serii powieści „produkcyjnych”, które na aplauz krytyki zarabiała samą tylko ważkością tematyki. W jej centrum stoi jeden z najdonioślejszych problemów nowohutnictwa urbanistyk — budowa wielokilometrowego burzowca od razu na całej jego długości. Budowa ta napotyka na olbrzymie trudności. Na skutek granicznego z sabotażem niedbalstwa (tej granicy powieść nie nakreśla ostro) inżynierów Fabii i Justynowicza z kierownictwa robót następuje śmiertelny wypadek. Inżynierowie wędrują na ławę oskarżonych, zagrożoną budowę zaś bierze w swe ręce załoga, powstają specjalne бригады szturmowe, które przed terminem, w ciągu czterech miesięcy, wykonują trudne zadanie.

Odtworzyłem tu zasadniczy tok akcji w powieści Kłysa, aby zorientować czytelnika, że jest on dość ubogi. Niesłusznie było założenie autora, który właściwy materiał powieściowy, materiał ludzkich konfliktów i spraw, uczynił nie centrum pisarskiego zainteresowania, ale jakby tłem dla „produkcyjnych” wydarzeń.

Wyraźnie pociągnęła Kłysa wielkość i patos nowohutnictwa budowy. Ślad wiele w powieści obrazów, które mają go czytelnikowi ukazać. Oto wędrujemy wraz z Arturem Keszlerem przez cały teren budowy miasta i w czasie tej fotoreporterskiej wyprawy ukazują się nam jej olbrzymi rozmach przestrzenny. Kiedy indziej zbliża do nas pisarz „mózg” budowy — jej dyrekcję, redakcję nowohutnictwa pisma „Budujemy socjalizm”, zebrania załogi, oświetlone nocą okna Komitetu Powiatowego partii. Są to jednak przejawnie zbliżenia migawkowe — albo deklaracyjne sformułowania, wypchane w usta jakiegoś zażenowanego ich pompatoznością bohaterów.

Brak jednak w powieści Kłysa rzeczywistego obrazu wielkości nowohutnickich spraw. Brak w niej przede wszystkim ukazania wielkiego i nieustannie rozwijającego się kolektywu budowniczych miasta, brak ukazania przełomu swiatopoglądowego, który się w tym kolektywie dokonuje, brak ukazania narodzin socjalistycznego człowieka.

W toku pierwszoplanowych wydarzeń powieściowych nikt się właściwie nie zmienia; wrogów i przyjaciół poznajemy od początku,

*) Ryszard Kłys: Ostatnie słowo ma człowiek. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1953, str. 311, nb. 1

tok akcji ściera ich tylko zewnętrznie i odrzuca od siebie. Zwyczajny budowniczy powieści ukazani są powierzchownie i płytko. Wszelkie więc formułowane potem ad hoc uogólnienia i konkluzje odstają od toku wydarzeń, nie znajdują w powieści ideowego i artystycznego uwiarytelnienia.

Wydaje mi się, że przyczyną tego podstawowego błędu książki jest nie tylko niesłuszne założenie „powieści produkcyjnej”, czyniące z człowieka makietę do podtrzymywania produkcyjnych problemów, gubiące z pola widzenia istotną humanistyczną treść sztuki. Sądzę, że drugą przyczyną jest pewne wypaczenie kierunku zainteresowań debiutującego pisarza dla zagadnień i konfliktów ludzkich. Pewnych bowiem ideologicznych czy psychologicznych problemów dotyka Kłys w swej powieści, ale mieszczą się one i rozstrzygają daleko poza głównym nurtem wydarzeń.

Reprezentantem tych problemów jest przede wszystkim główny bohater powieści, Artur Keszler. Młody, „lewicujący” dziennikarz przedwojenny, przeszedł niezwykle koleje losu: zareczony z córką bogatego przemysłowca przeżył bolesny zawód miłosny, gdyż na kilka dni przed ślubem narzeczona poszła do klasztoru. Ten cios nadal psychologicznemu obliczu Artura wyraz łagodnej melancholii i jakiegoś osłupienia. Nie wytrzymała go z niego wojna, pobyt w Związku Radzieckim, potem II Armia, powrót do kraju i wreszcie praca w Nowej Hucie — wszystko w nastroju jakiegoś pół-uspienia.

Dzieje tego człowieka, sprawy jego środowiska, przede wszystkim zaabsorbowały autora. Pisarz wie dzie Artura najpierw przez drobno-mieszczańskie piekło, przez środowisko Fabii i Justynowicza, których kompromituje sposobami nie najambitniejszymi, bo poprzez łódko, alkohol, odrażający wygląd zewnętrzny. Sam Fabia, odpowiedzialny pracownik Zarządu budowy, tryska taką wrogością do ludowej i nowohutnictwa rzeczywistości, że opowiada o niej głośno na prawo i lewo, co zresztą wkłkła jego stosunki z Keszlerem. Justynowicz po użył tonie w błotku moralnym, w alkoholu i rozpiętej rozpuszc.

Dialektyka rozwoju ideowego Keszlera kształtuje się właśnie w walce z tym drobno-mieszczańskim rozkładem. Keszler odpycha od siebie zło — ale wszystko to odbywa się w świecie odległym od spraw budowy, w świecie drobno-mieszczańskich dramatów, zdrad, trójkątów i wrogich rachub politycznych. I choć zamierzeniem autora było niewątpliwie przeciwstawienie temu ginącemu światu — światu zwycięskiej budowy, uwaga, jaką skupił na demaskowaniu podłoża starożytności, sumiennosc, z jaką odtworzył jego konflikt, zajęła go w widoczny sposób bar-

dziej, niż ukazanie bogatego wizerunku psychologicznego ludzi jutra, których zresztą uprzednio zdegradowała koncepcja „produkcyjna”. Zadnego z tych bohaterów — ani Starca, ani ciekawie się zapowiadającego korespondenta nowohutnictwa gazety Bazylego Strychały, którego dziennikarski rozwój porzucił autor w połowie powieści, ani Staszka Pająka, który pomógł z winy inżynierów — sabotażystów tragiczną śmierć, nie uczynił Kłys rzeczywiście mocnym artystycznie przeciwstawieniem dla pieczołowicie odtwarzanych drobno-mieszczańskich dramatów.

Zweksławianie zainteresowań pisarskich na środowisko i problematykę drobno-mieszczańską, na mozelne i „samodzielne” wyłamywanie się Keszlera z ram drobno-mieszczańskiego świata odbiło na drugi plan ten zespół ludzi, którzy raczej decydują o obliczu ideowym i politycznym Nowej Huty i jej ludzkiego kolektywu.

Można by sądzić, że te szczególne frapujące pisarza partie powieści poświęcone rekonstrukcji drobno-mieszczańskich konfliktów są najlepiej, najżywiej napisane. Przeciwnie — ciągnięcie tej nieklarownej problematyki wywołało często zmłodramatyzowanie stylu (scena pogodzenia się Justynowiczów), otwarto niezbyt drogą naturalistycznemu obrazowaniu, psychologizującym roszczeniom wielu zdań. Szkoda tym większa, że przekradły się one potem również i do opisów uczuć nowych ludzi. Oto np. pozostała autorowi wieczorem Marynę w pokój Błażeja i „dykretanie” informuje czytelnika: „Noc była łaskawa”. Właśnie inwazji tego typu nawyków i smaczków stylizacyjnych „zawdzieć” trzeba, że z powieści nie wyłania się dość wyraźnie indywidualność stylizacyjna autora.

Koleje wewnętrznego rozwoju Keszlera zamyka autor takim oto jego wyznaniem: „Człowiek nie może się nie zmieniać, kiedy zmienia się wokół niego krajobraz martwych rzeczy. W tym świecie nauczyłem się więcej, niż gdziekolwiek przez całe życie. To miało być samą historią powstawania i życia, historią upadających i powstających ludzi...”

Ponieważ zabrakło w powieści Kłysa obrazu tych, którzy rzeczywiście wzrastają, obrazu wzrastania naszego narodu, a główną uwagę skupił pisarz na świecie upadających, z których jeden anemicznie zrzuca z siebie drobno-mieszczańskie pęta i właściwie czeka dopiero na prawdziwy rozwój, prawdziwy wzrost świadomości, charakteru, postawy — jest powieść Kłysa raczej „historią upadających” niż obrazem budowy Nowej Huty i jej socjalistycznego kolektywu.

Wacław Sadkowski

JÓZEF STYCZEN

Polemiki pedagogiczne



Klemens Oleksik

łania Daniela” jak i „Drewnianego różańca”.

MIARA AKTUALNOŚCI

Byłoby naiwnością dopatrywać się w tych sumujących, deklarujących ostatecznie wniosek stwierdzenia klucz do problematyki dwóch polemik pedagogicznych, jakimi są niewątpliwie książki Oleksika i Rollecza, książki bardzo różne, choć połączone wspólnym problemem, ale cytowane wyżej urywki są znamienne. Zanim powrócę do tej sprawy, chciałbym podnieść jednak kwestię nieco inną, a mianowicie sprawę miccodzienną aktualności obu omawianych pozycji wydawniczych. Uważam książki Oleksika i Rollecza za prace aktualne, stanowiące istotny przyczynek do sprawy szerszej, za próbę polemiki z reakcyjnym systemem wychowawczym reprezentowanym przez Kier: i chociaż tak szeroko pojętego zagadnienia na pewno nie wyczerpują, niemniej przyjrzenie się choćby już samej metodzie tej polemiki dostarcza ciekawego materiału.

Obie książki kończą się podobnie. Ich bohaterowie — młody chłopak wiejski Daniel u Oleksika i dziewczynka ze środowiska drobno-mieszczańskiego u Rollecza stają na końcowych kartach powieści skłóceni z całym systemem wychowania klerikalnego, odkrywają inną drogę, różną od tej, którą wskazywał im ten system wychowawczy. Wniosek jest podobny: nie tędy droga. Ale sposób, w jaki wniosek ten został sformułowany, pokazuje różnicę: u Rollecza jest to wyrzut pod adresem dotychczasowych wychowawców, gojący po objęciu trudnej, bolesnej lekcji. U Oleksika na odwrót: nawet jeśli uwzględnimy ironiczne brzmienie zakończenia, mimo to, czy właśnie dzięki temu, odzwiera się w nim ton kwitowania korzyści, choć przez negację.

CZEGO SIĘ DANIEL NAUCZYŁ

Klemens Oleksik w „Powołaniu Daniela” pokazuje powszechnie znaną, ale i typową drogę bohatera do krucht klasztornych. Dla półfederalnej wsi, której najpowszechniej-

szą, „oficjalną” ideologią jest religia a szczytem awansu społecznego plebania, droga Daniela nie jest wyjątkiem. Pokazanie, że bohater, nie chcąc być ciężarem rodziny, a jednocześnie czując „pociąg do księżki” kieruje się nie gdzie indziej jak właśnie pod skrzydła klasztoru czy plebanii, nie stanowi o odkrywczości artystycznej książki. Ciekawszą znaczenie niż ta „droga dojścia” nakreślona zresztą szcziwco jest „droga powrotu”, powrót w sensie społecznym prawie do punktu wyjścia, bo Daniel wraca do swojej wioski nie zyskawszy nic, aby znowu startować od zera, wraca jednak bogatszy intelektualnie, po odbyciu poważnej nauki. Na czym opiera się konflikt, dzięki któremu droga życiowa Daniela nie kończy się w murach klasztoru? Nie jest to konflikt światopoglądowy, przynajmniej nie jest nim od początku. Bohater Oleksika wierzy, pierwsze tygodnie spędzone w klasztorze upływają mu na „uprawianiu” praktyk duchowych, mających mu zapewnić świętość. Daniel chce być zakonnikiem, nawet może świętym, i tu zaczyna się w książce część najciekawsza, autor bowiem stawia sobie za cel uodowodnienie, że Daniel został nim nie może, zachowując te cechy ludzkie, które uważa za pozytywne, gdy myśli kategoriami swojej rodzinnej wioski. Po pierwsze Oleksik atakuje tezę o łatwym awansie społecznym, którego wyrazem jest księża sutanna wskazując, że awans ten jest niesłychanie trudny dla biedaka.

Ale nie jest to jednak sprawa główna. Zarówno w wypadku brata Ochockiego, jednej z pozytywnych postaci książki, mamy do czynienia ze zderzeniem się dwóch koncepcji życia, dwóch nie tylko może światopoglądów, co obyczajowości — tej, którą głosi i propaguje kościół, której wymogi narzuca się zakonnikowi i tej, która obowiązuje „za murami” — obyczajowości świeckiej. Obowiązek wyrzeczenia się spraw ziemskich w imię służby bożej — oto główna przeszkoda, której Daniel nie może pokonać, która doprowadza do obłądki brata Tomasza a księdza

(Dokończenie na str. 8)



— Sa premiere ebauche...



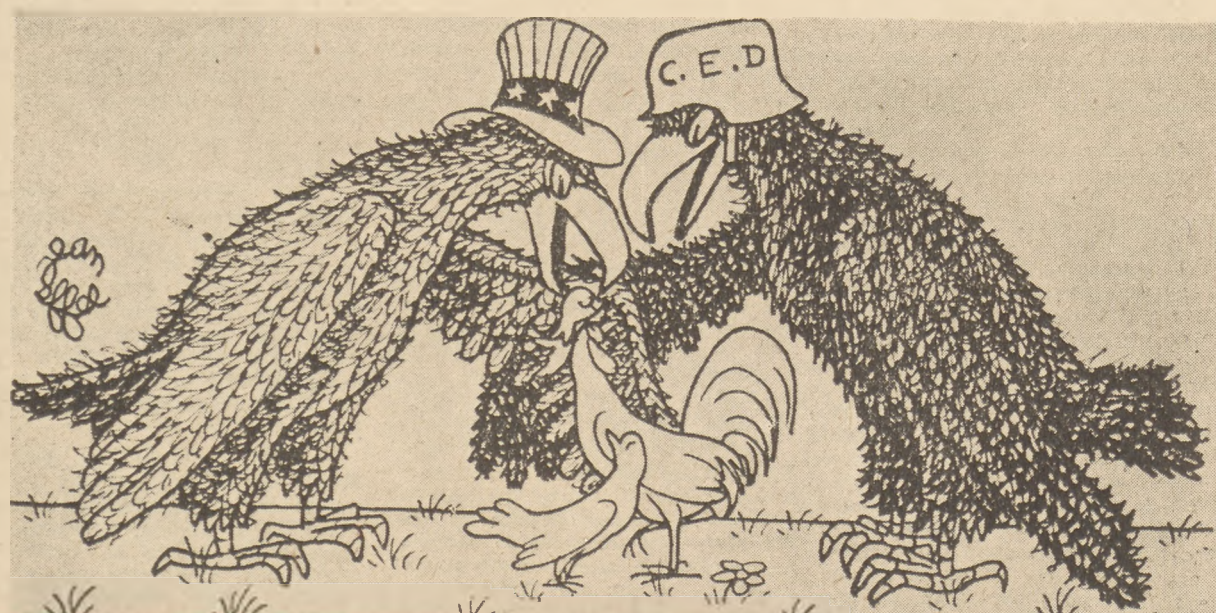
Ca n'a pas commence à lui tenir tête...

Z CYKLU „GENEZIS”



— CZY MÓWI PAN PO POLSKU ?
— PARLEZ-VOUS FRANÇAIS ?
— DO YOU SPEAK ENGLISH ?

Jean Effel



LE LANGAGE DES SYMBOLES

— Comme ça, entre nous deux, vous m'avez plus rien à craindre...

„POD NASZYMI SKRZYDLAMI NIE MACIE SIĘ CZEGO OBAWIAĆ”



PROTEST PRZECIWKO UKŁADOM Z BONN I PARYŻA

Polemiki pedagogiczne

(Dokończenie ze str. 7)

Ochockiemu każe stracić wiarę i pozostać na zawsze już złamanym, piękny jako człowiek, w murach klasztoru. Książd Ochocki, teolog i myśliciel, autor pracy o powołaniu zakonnym, której nie może dokończyć, jest zresztą postacią, na przykładzie której najłatwiej jest wyjaśnić sens omawianego konfliktu. Słusznie do notatek, którymi zarzucono jest gabinet teologa. Wśród nekających go wątpliwości pisze on takie m.in. słowa:

„Stwórca dał nam ciało, my je niewidzimy, dał nam zmysły, o których chcemy zapomnieć. Wynosimy na ołtarze niewiastę, która nie przesłała mąk narodzenia człowieka, modlimy się do świętych, którzy opuścili ojca i matkę, krwawiąc ich rodzicielskie serca. Jesteśmy surowi, a przecież Bóg stworzył świat bogaty w miłość i piękno...”

Oleksik nie stara się zbudować karykatury, nie zakłada z góry, że epoki, rezygnując zeń na rzecz pokazania różnic, nie ma. Od podejścia satyrycznego jest jak najdalej, rezygnując zeń na rzecz pokazania różnic, nie ma. Od podejścia satyrycznego jest jak najdalej, rezygnując zeń na rzecz pokazania różnic, nie ma.

Nie kładzie również autor szczególnego nacisku na sprawę funkcji klasowej systemu pedagogicznego i moralnego, który pokazuje. Notuje, znów w dalszych planach, konflikt pomiędzy obszarami Broszem a strajkującymi robotnikami rolnymi, nie maskując roli, jaką w tym konfliktie odgrywa klasa i pracujące pod jego wskazaniemi bractwo różańcowe, ale też nie zajmując się tymi sprawami bliżej. Zapisuje dziwne wykształcenie ideałów religijnych w zetknięciu z życiem świeckich ludzi, takich jak ciotka Daniela czy stary Brosz, obszar, ale widząc te wszystkie sprawy, komunikując o nich czytelnikowi w formie skróconej i epizodycznej nie stawia ich — umyślnie — w centrum powieści. Interesuje go w niej bowiem jak już powiedziałem, sprawa obyczajowości, sprawa rozbieżności pomiędzy ideałem klasycznym a świeckim, sprawa niekonsekwencji, które wykrywa w ramach samego systemu klerikalnego wychowania, gdy konfrontuje je z rozsądkiem chłopkiego syna spod Lobzowa.

„OKUPANCI” NA PRZEDMIĘSCIACH

Gorzką wyraz, który zamyka „Drewniany różaniec” przytoczyliśmy. Dodajmy, że nie mogła inaczej skończyć się książka, zawierająca



Natalia Rolleczeck

trzy opowiadania, z których każde jest wyrzutem. Oleksik pokazywał bohatera, który szedł do klasztoru dla awansu społecznego. W jego wyborze tkwił moment dobrowolnej decyzji, a nawet, co nie powinno zabrznieć tu jako zarzut lub próba kwestionowania subiektywnie jak najdalej od cynizmu intencji bohatera — chęć zysku osobistego. Bohaterka książki Rolleczeck, a ściślej dwie bohaterki — Tala i jej starsza siostra Lucja, dostają się w krag oddziaływania klerikalnego nie tylko, że nie zmysła o jakiegokolwiek korzyści, ale jest to dla nich jedyny środek, aby utrzymać się przy życiu, jedyna obrona przed nędzą. Nie chcą się uświęcać, nie wybierają swojego

otoczenia z przekonaniem, może nawet nie wierząc, jest to dla nich po prostu deska ratunku. Ten fakt nadaje od początku szczególnego zabarwienia opowiadaniom Rolleczeck. Sygnalizuje jednocześnie ważne, o dużym zasięgu zjawisko społeczne, zwane filantropią.

Pamiętamy słynne, bo utrwalone na piśmie przez samego ich bohatera, przygody polskiego intelektualisty jeżdżącego po przedwojennej Polsce z odczytem o Villonie. W szkicu pt. „Przygody Franciszka Villona w kraju okupowanym” pozostawił Boy-Zeleński obraz kraju opłoczonego bez reszty drobniutką pajęczynką najróżnorodniejszych organizacji i organizacyj klerikalnych, z których każda oddzielnie jest może zabawna, niepoważna, ale wszystkie razem stanowią jakąś nieopisaną wprost siłę, oddziaływającą na opinię publiczną.

Rolleczeck pokazuje nam gestą pajęczynkę oplatającą już nie Franciszka Villona, ale masy ludzi pozabawionych pracy, spychanych przez kapitalizm na dno nędzy, ludzi chwytających się wszelkich możliwych sposobów, aby uratować się przed śmiercią głodową. Książka od razu, od pierwszych stron pokazuje filantropijny system pomocy biednym jako wyrażną, przemysłową, klasowo określoną akcję dywersyjną reakcji. Za filantropią u Rolleczeck stoi zawsze albo jakaś pani baronowa, albo jakaś hrabianka Krystina.

Ten punkt wyjścia przesądza dalszy bieg spraw. Przesądza, po pierwsze kierunek zasadniczych poszukiwań pisarki. Natalii Rolleczeck nie obchodzi na kartach jej książki czy jest Bóg, czy go nie ma, nie obchodzi jej żadna kwestia z zakresu teologii czy dogmatyki. Ten cały nurt, który pasjonuje Oleksika, dla Rolleczeck nie istnieje. Obchodzi ją przede wszystkim sprawa społecznych, politycznych i wychowawczych konsekwencji wynikających z faktu pojawienia się bojowskich „okupantów” na robotniczym przedmieściu. Rolleczeck wychodzi znacząco poza obręb bezpośrednich kontaktów z zakonem czy innymi instytucjami klerikalnymi. Z trzech opowiadań zawartych w tomie jedynie jedno, ostatnie, rozgrywa się

w sierocińcu, prowadzonym przez zakonnicę. Dwa poprzednie pokazują inne formy działalności filantropijnej — „prywatną” filantropię baronowej, która zabiera do swego pałacu dwójke robotniczych dzieci, aby pod pozorem opieki i pomocy narazić je tam na bolesne poniżenie, oraz zorganizowany przez nędzących pań z towarzystwa Klub Młodych Polek typową organizację dywersyjną, mającą w solidaryznie-sielankowych nastrojach rozpłaszczać gorzkie krzywdzonych przez los pracujących dziewcząt.

DWIE STRONY, ALE JEDNA WAŻNIEJSZA

Mówiłem na początku, że obie książki, zarówno „Powołanie Daniela” jak i „Drewniany różaniec” poruszają ten sam problem. To prawda, ale poruszają go od dwóch stron — Oleksik od strony konfrontacji poglądów obyczajowych chłopów spod Lobzowa z regułą klasztornej dywersyjnej racjonalności z mistycznym, Rolleczeck natomiast od strony społecznych konsekwencji klerikalizmu, od strony klasowego sensu filantropii. Obie książki napisane są z niewątpliwym talentem, choć na piśmie Oleksika znać jeszcze pewne braki w samej technice konstrukcji powieściowej, zbyt mało zwartej, gubiącej się niekiedy w dygresjach i nawrotach. Ważne jest jednak dla nas przede wszystkim, że obie książki są na pewno ważnym przyczynkiem do dyskusji o wychowaniu. Ale właśnie z perspektywy tej dyskusji wyznaczyć trzeba pewne hierarchie. I wydaje mi się, że ta strona zagadnienia, którą porusza Rolleczeck jest sprawą w przyszłości ważniejszą. Praktyczne, społeczne konsekwencje wychowania klerikalnego z jakimi spotykamy się obecnie mają swe źródła w tych przede wszystkim zjawiskach, które postawiła w pełnym świetle autorka „Drewnianego różańca”. Polemika, którą podjęła Rolleczeck właśnie dlatego, że toczy się przy nieustannym posługiwaniu się argumentacją społeczną, klasową, przewodziła nie tylko na ostrze, wyraziście rysowane samego zjawiska filantropii zakonnej i poza-zakonnej,

ale stworzyła również podstawę do znacznie wyraźniejszego niż w drugiej spośród omawianych książek wniosku. Nie jest przypadkiem, że bohaterka „Klubu Młodych Polek” Lucja zrywa swój kontakt z tą organizacją wygaszając na klubowej uroczystości wiersz o zabarwieniu rewolucyjnym. Rozejście się z systemem wychowania reakcyjnego, organizowanego w różnych formach przez burżuazję nie otwiera przed myślącymi bohaterkami książki Rolleczeck pustki, ale przeciwnie, kieruje je na drogę walki, tak jak niedość dokonania tego kroku pociągnąć musi za sobą jedyną konsekwencję — wyrzucenie się norm klasowych, służalczość wobec wyższości. Rolleczeck pokazała tę granicę, poza którą wychowanie według norm pedagogiki reakcyjnej staje się deprawacją.

Książka Oleksika, pomimo swych zalet, nie potrafiła naszkicować tak jasno zagadnienia. Bohater Oleksika stoczył dysputę światopoglądową — nie przekonano go — odszedł. Odszedł „straciwszy powołanie zakonne”, może nawet wiarę w Boga. Ale zrywając z klaszorem stoi nadal na rozstajach życia społecznego, nadal nie wiadomo, jaką drogą pójdzie. Nauczył się coś niecoś, ale nauka jego nie prowadzi go jeszcze do wniosków ostatecznych. Dlatego tak się stało? Wydaje mi się, że zaważyła tu metoda polemiki pedagogicznej, jaką podjął Oleksik. Podejmując dysputę światopoglądową zaczerpnął z masy argumentów przeciwko idealizmowi kościelnemu, jaką nagromadziła myśl ludzka, na pewno nie wszystkie, a jedynie te, które odnoszą się do niektórych spraw obyczajowych i kał swemu bohaterowi w sposób pozytywny rozstrzygnąć sprawę światopoglądową. Sprawę dalszej edukacji chłopkiego syna pozostawił w zawieszaniu, bo od zwycięstwa życiowego realizmu obyczajowego do walki o nowe życie daleka jest droga. I dlatego wnioski z jego książki, na pewno pozytywne, nie stawiają jednak sprawy walki o nowe wychowanie tak ostro, jakby należało oczekiwać w wielkiej kampanii o nowy ideał wychowawczy, o nową drogę młodego pokolenia.

Józef Styczeń

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

Koniec czy początek reformy

Jestem na pewno jednym z najmniej powołanych do tego, aby oceniać co zyskał wraz z osobą Leona Schillera teatr i kultura w Polsce i co teatr i kultura polska wraz ze śmiercią tego człowieka traci. Teatrolodowie, współpracownicy i wychowankowie Schillera podejmą z pewnością niezbędny trud ujęcia w ściśle normy dorobku i spuścizny największego człowieka obozu reformy w teatrze polskim. Jeśli jednak pragnę na tym miejscu wypowiedzieć kilka laickich uwag związanych z tym tematem, to dlatego, że leży mi na sercu sprawa nowoczesnej, realistycznej sztuki polskiej, sprawa prawdziwej reformy zarówno w teatrze jak w filmie, jak i w innych dziedzinach twórczości.

Nie wiem, może się mylę, ale wydaje mi się, że wraz ze śmiercią Schillera zmniejszyła się o połowę realna możliwość wystawienia „Dziadów” Mickiewicza. „Dziadów” czy „Nie-boskiej”. Nie chodzi tu zresztą o sprawę samych tych dramatów. Sądzę, że ma ona szerszy wymiar i łączy się bezpośrednio z zasięgiem, lub też, że posłużyć się terminem wojskowym, rejonem operacyjnym realizmu w sztuce polskiej. W sztuce w ogóle, to znaczy tak w teatrze jak w literaturze, malarstwie i filmie. Sprawa rejonu operacyjnego realizmu jest bezpośrednim wynikiem bogactwa i siły metody rejonowej w naszej twórczości.

Postaram się wyjaśnić o co chodzi. Do chwili obecnej, do 1954 roku osiągnęliśmy we wszystkich dziedzinach naszej sztuki zasadniczy, decydujący sukces, polegający na tym, że metoda, światopogląd artystyczny, jakim dla twórców związanych z rewolucją proletariacką jest realizm socjalistyczny, stał się uznanym i prawie wyłącznym światopoglądem prawdziwie twórczych artystów. Jest to zwycięstwo w zakresie światopoglądu artystycznego. Jako wynik, następstwo tego zwycięstwa osiągnęliśmy również postęp w zakresie realistycznego warsztatu, środków wyrazowych sztuki. Potrafimy już dziś wystawić w teatrze lepiej niż kiedykolwiek realistyczne sztuki Fredry, potrafimy, choć jeszcze w zakresie niedoskonałym, namalować realistyczny, czytelny obraz, napisać powieść wolną od psychologizujących, ekspresjonistycznych i innych „istycznych” obciążań warsztatowych. Można więc na ogół powiedzieć, że panujemy już nad realizmem jako stylem sztuki. Ale... I tu zaczynają się „ale”. Polegają one na tym, że zarówno w twórczości współczesnej jak i przede wszystkim w przeszłości mamy do czynienia z „działami”, które będąc realistycznymi w sensie światopoglądu, w sensie prawidłowego odbicia konfliktów rzeczywistości w sztuce nie posługują się bynajmniej realistycznymi środkami wyrazu. Możemy oczywiście, ba, powinniśmy, jak najskrupulatniej doszukiwać się plebejskich elementów epoki w „Śnie nocy letniej” Szekspira, ale nikt nie zaprzeczy, że na scenie dzieją się cuda; możemy widzieć w III części „Dziadów” realistyczny obraz epoki, ale fakt jest faktem, że diabeł nie tylko przemawia przez usta Konrada, lecz również opuszcza później ciało więźnia pod wpływem egzorcystów i staje obok, jako osoba szczerzna.

Szekspir i Mickiewicz — dramaturgi jest nam tak samo bliski jak np. Aleksander Ostrowski czy Fredro. Do dwóch ostatnich mamy już klucz w postaci warsztatu realistycznego. Do „Dziadów” ten klucz nie pasuje. Jeśli niewybaczalnym błędem ideowym formalisty Meyerholda było wystawianie „Lasu” Ostrowskiego tak, jakby to były „Dziady”, takim samym błędem byłoby wystawianie „Dziadów” tak, jakby to był „Las”. Schiller był jednym z tych, którzy szukali klucza, realistycznego klucza do repertuaru naszych romantyków, rozumiejąc, że nie pasuje tam klucz stosowany do sztuk typu „Moralność pani Dulskiej” czy „Świętoszka”. Dalsze poszukiwania w tym kierunku, walka o zdobycie dla światopoglądu realizmu socjalistycznego tych rejonów sztuki, których cechą nie jest realizm w sensie środków, ale przeciwnie, fantastyczne, symboliczne itp. odbicie rzeczywistości jest częścią składową naszej ofensywy i ideologicznej i artystycznej w sztuce.

„My reprezentujemy rzeczy nadzwyczajne” — mówi jedna z postaci w którejś z grotesek Gałczyńskiego. Otóż nie. My jeszcze tych rzeczy nie reprezentujemy. Powinniśmy je jednak po nowemu reprezentować. Jest to jedno z zadań nie zakończonych jeszcze, a raczej dopiero rozpoczętej reformy sztuki w Polsce.

Krzysztof Teodor Toeplitz

Najbliższe zebrania Sekcji ZLP

Dnia 12 kwietnia, w poniedziałek o godz. 17-ej odbędzie się zebranie Sekcji Przekładu. Temat: Ruy Blas W. Hugo w nowym przekładzie. Zag. J. Iwaszkiewicz, ref. G. Karski.

Dnia 14 kwietnia, w środę o godz. 17-ej odbędzie się zebranie Sekcji Poezji. Temat: Omówienie ostatnich tomików poetek J. M. Głogowskiej, A. Śliwickiej i W. Woroszyńskiego. Zag. J. Lau.

Redaguje Zespół Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 12. Telefony: Sekretariat 886-11, 814-41, w. 75. 800-81 w 4. — Red naczelny 879-38. Adres administracji Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 800 21. Wydaje RSW „Prasa” Kolportaż: P P K „Ruch”. Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804 20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4 60, kwartalnie zł 13 80, półrocznie zł 27 60, rocznie zł 55 20. Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa” Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-111-5589, tel. 823-09. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca